

St. Morzkowska.

BĄDŹCIE DOBREMİ

POWIASTKI



NAKŁADEM
MICHAŁA ARCTA
w Warszawie.

BĄDŹCIE DOBREMI.

Druk P. Laskauera i W. Babickiego, Ś-to Krzyzka 11.



BĄDŹCIE DOBREM!

POWIASTKI



dla dzieci od lat 8 do 10

oryginalne i naśladowane

przez

St. Morzkowską.

z 4 obrazkami chromolitografowanymi

WARSZAWA

Nakład i własność Michała Arcta

1900.

Дозволено Цензурою
Варшава, 4 Мая 1899 года.



63224

K-140/76/69575

BIEDNA KASIA.

(z obrazkiem).

Jadzia i Zosia cieszyły się bardzo, że już nadeszły wakacje; bo chociaż obie należały do pilnych uczennic, przyjemniej im było używać swobody na wsi. Dom ich otoczony był wielkim ogrodem, mogły więc po nim biegać, ile chciały. Naokoło ogrodu był rów, po za którym ciągnął się jeszcze gęsty żywopłot. Koło domu zieleniły się wielkie trawniki, stały ocienione altanki, pachniały klomby pięknych kwiatów. Dalej widniał ogród warzywny z drzewami owocowymi, z krzakami malin, agrestu, porzeczek; rosły tam także poziomki i truskawki. Z warzywnego ogrodu prowadziła mała furtka na łąkę, zakończoną ciemną ścianą lasu.

Dziewczynkom jednak nie było wolno wychodzić samym po za obręb ogrodu. Jadzia i Zosia

miały nieraz chętkę pobiegać po łące, zasianej polnemi kwiatkami, nad którymi fruwały różnokolorowe motyle, lecz na pochwałę siostrzyчек zaznaczyć musimy, że tej pokusie nie uległy.

Jednego dnia nie szła im jakoś zabawa: lalki miały twarzyczki nudne, piłka zawsze jakoś w bok leciała, a przy grze w krokieta prawie że się posprzezczały.

Wtem usłyszały dziecinne głosy po za płotem otaczającym ogród. Jadzia pierwsza pobiegła w stronę głosów, rozdarłszy sukienkę przy żywopłocie. Nie przeszkodziło to Zosi w naśladowaniu siostry. Spojrzały przez płotek i dojrzały wielkie, niezbyt czyste podwórze, na którym bawiło się kilkanaścioro dzieci. Po większej części miały na sobie brudne ubrania, potargane włosy; krzyczały przytem niesforne, były się nawet, za co łajali je przechodzący przez podwórze ludzie. W głębi podwórza stał niski, jednopiętrowy dom, a w jednym z okien siedziała bardzo blada, młoda kobieta, przy której bawiła się mała dziewczynka. U okna zawieszzone były białe firanki, na niem zaś stało kilka doniczek z kwitnącemi roślinami.

Blada nieznajoma miała niezmiernie miły wyraz twarzy, a do córeczki przemawiała tak słodkim uśmiechem, że sam jego widok pociągnąć mógł siostrzyczki.

— Jaka miła ta pani! — odezwała się Jadzia, — jej córeczka jest chyba w naszym wieku. Może mama pozwoliłaby nam bawić się z nią?

Zosia podzielała zdanie Jadzi.

W tej chwili nadeszła Julka pokojówka i zaczęła ganić panienki z powodu rozdartych sukienek.

Mało zważając na gderanie Julki, Jadzia zapytała ją, kto jest ta mała dziewczynka, tam — w oknie?

— To biedactwo?... To Kasia, córka szwaczki Radzińskiej, — oznajmiła pokojowa. — Ta pani niedawno się tu sprowadziła dla świeżego powietrza, bo jest chora.

— Dla czego nazywasz Kasię biedactwem?... Jej matka widocznie ją bardzo kocha, a ona sama jest czysto i porządnie ubrana, nie tak, jak te krzyżące dzieci.

— Spodziewam się! ta matka bardzo dba o swoją córkę. W tym nowym domu mieszka teraz wiele ubogich ludzi, po większej części robotników z pobliskiej fabryki, którzy nawet czasu nie mają na pilnowanie dzieci. Cóż dziwnego, że chodzą obdarte, skoro nawet takich panienek jak Jadzia i Zosia, nie można samych zostawić; zaraz drą sukienki, gubią wstążki do warkoczy. Kasia tak nie postępuje, ona jest zawsze porządnie ubrana, i matka nigdy jej łajać nie potrzebuje. Ale zawsze to biedne dziecko; ojca już dawno straciła, a matka jej jest chora i pew-

no niedługo pociągnie. Och, wtedy cóż się stanie z biedną sierotą?

Zasmuciły się obie dziewczynki, co Julkę całkiem rozbroiło. Wróciły do domu, cały dzień myślały o Kasi. Odtąd codziennie biegły na koniec ogrodu, by przez płotek zobaczyć, co robi dziewczynka. Widocznie stan zdrowia jej matki pogorszył się, gdyż nie siedziała już przy oknie z robotą w ręku.

Pewnego dnia zobaczyły panią Radzińską na podwórzu. Siedziała na krzeselku, z głową o mur wspartą, tak wychudła i blada, że cała siatka błękitnych żyłek widniała na jej skroniach; oczy miała zapadłe, ręce tak zawsze pracowite, leżały bezczynnie na kolanach. Wzrokiem śledziła wciąż swoją małą Kasię.

Siostrzyczki zapragnęły sprawić jej jakąkolwiek przyjemność i bez długiego namysłu zerwały kilkanaście róż; poczem Jadzia wołać zaczęła:

— Kasiu, kochana Kasiu, daj te kwiatki swojej mamie, albo poczekaj jeszcze, przyniesiemy ci truskawek.

Zerwały ich tyle, ile zmieścić się mogło na chrzanowym liściu i przez płotek podały Kasi kwiaty i owoce.

Kasia zarumieniła się z radości.

— Dziękuję paniom, — powiedziała, kłaniając się.

Pobiegła do matki i złożyła jej na kolanach dar dziewczątek. Chora kobieta uśmiechnęła się słodko i skinieniem głowy zdaleka dziękowała siostrzyczkom, które postanowiły bardzo prosić mamę, aby zechciała dać chorej wina, owoców i innych dobrych rzeczy.

Tymczasem do rodziców Jadzi i Zosi przyjechali dziadkowie i ciocia Rózia z dwojgiem małych dzieci.

Kochani goście tyle czasu i myśli zajęli dziewczynkom, że chwilowo zapomniały o chorej szwaczce i jej córce. Wraz z gośćmi odjechali na dni kilka mama z tatusiem. Z początku mama miała poprosić jedną ze swych przyjaciółek, aby zechciała przyjechać i opiekować się dziećmi podczas jej nieobecności, lecz Julka tak zaręczała, że potrafi zająć się dziewczynkami, iż mama zaniechała swego zamiaru.

— Proszę pani — mówiła pokojówka, — już od dziesięciu lat służę u pani, wiem przecież, co wolno dziewczynkom, a czego im pani broni; już ja się niemi zaopiekuję.

— A będziesz uważała, aby nie jadły niedojrzałych owoców, nie chodziły po rosie?

— Z pewnością, proszę pani, — zaręczała Julka.

— Zobaczysz mamusia, że będziemy bardzo grzeczne, — przyrzekały dziewczynki.

Po wyjeździe państwa służące zabrały się do mycia, szorowania, czyszczenia całego domu. Julka

wysłała dzieci do ogrodu i od czasu do czasu przychodziła zobaczyć, co porabiają.

Dziewczynki jednak nie bardzo jej słuchały: maczały ręce w źródelku, kryły się w budzie psa Burka, na co by mama nigdy nie pozwoliła, w końcu znudziły ich te wszystkie figle. Wtedy przypomniały sobie Kasię i jej matkę. Zerwały trochę róż i owoców i pobiegły do płotka. Chorej kobiety nie było ani przy oknie, ani na podwórzu, tylko Kasia siedziała sama na progu domu. Ukryła twarz w fartuszkach i rzewnie płakała. W pobliżu stała gromadka dzieci. Coś szeptały między sobą i patrzyły na Kasię, kiwając głowami z politowaniem i współczuciem.

— Kasiu, droga Kasiu,— zawołały obie dziewczynki,— przyjdź do nas i zanieś te kwiaty twojej mamie.

Dwa razy musiały powtarzać, zanim Kasia je usłyszała.

Wolnym krokiem podeszła do nich i wyrzekła smutnym, cichym głosem:

— Moja mama nie potrzebuje już kwiatów, bo wczoraj umarła i już leży w trumnie.

— Ach, mój Boże! to ty już nie masz mamy?— mówiła Jadzia — jaka ty biedna jesteś!

Więcej dziewczynki na razie przemówić nie mogły z żalu za mamą Kasi. Ta rozplakała się znowu serdecznie.

— To połóż przynajmniej te kwiaty na jej trumnie — odezwała się wreszcie Jadzia, — twoja mama zapewne lubiła róże.

— Dziękuję panią — rzekła Kasia.

— Przy kim teraz będziesz mieszkała? — spytała Zosia.

— Nie wiem; chciałabym z mamusią położyć się w grobie.

— Ach! Kasiu, co też ty mówisz! — zawołała Jadzia, a Zosia dodała:

— Twoja mama dostanie się do nieba, tam, gdzie jest nasza mała siostrzyczka.

— Czemuż mnie z sobą nie zabrała! — skarżyła się Kasia.

Dziewczynki rozplakały się, patrząc na smutek Kasi, a Jadzia przypominając sobie, co jej mama mówiła o zmarłej siostrzyczce, tak rzekła:

— Zobaczysz kiedyś twoją matkę, jak my naszą Elżunię, ale przedtem musimy być bardzo grzeczne. One tam w niebie są aniołami i patrzą na nas z wysoka, a gdy przyjdzie czas, powołają nas do siebie.

— Czemu to niebo tak daleko! — westchnęła Kasia.

— Poczekaj, jeszcze ci coś przyniesiemy! — zawołała Zosia, biegnąc w stronę malin; Jadzia zaś poszła do altanki, w której stał talerz z wiśniami.

Zaledwie siostry oddały owoce Kasi, gdy Julka przywołała je na podwieczorek.

Dzieci z podwórza przysłuchiwały się rozmowie Kasi z panienkami, teraz obstały sierotkę.

— Co one ci dały? Pokaż! pokaz!

— Te kwiaty i te owoce, — odpowiedziała, odchylając fartuszek.

Dzieci o róże nie dbały, za to nęciły ich owoce.

— Daj nam wiśni! — wołały.

— Mnie daj!

— Daj mnie wpierw.

Zaczęły rozpychać się wzajemnie, krzyczeć, wyrwać sobie wiśnie i maliny.

Kasia oddała im owoce i chciała zanieść róże na trumnę matki, gdy zastąpiła im drogę wysoka, tęga kobieta.

— Co to znaczy? — zawołała. — O co się tak kłócicie?

— Kasia dostała wiśni i malin, a Jakóbek z Walkiem i Marynką wszystko zabrali i nam nie dać nie chcą.

— Patrzcie no! A wam co do owoców Kasi? Kto ją przygarnął, kto się nią opiekuje? Tylko ja — i dla tego nie wy, ale moje dzieci mają prawo do tych owoców.

Mówiąc to, odebrała dzieciom resztę wiśni

i zgniecionych malin, porozpędzała je i rozdzieliła owoce między własne dzieci.

Kasia tymczasem wsunęła w ręce matki leżącej w trumnie, bukiet róż, i oparłszy głowę o brzeg trumny, płakała rzewnie i długo; potem splakana zasnęła.

Gdy nadszedł wieczór, wszedł do pokoju doktor, a za nim tęga pani Gruczkowska.

Ich wejście zbudziło Kasię ze snu, podczas którego widziała mnóstwo pięknych aniołów. Z wdzięcznością spojrzała na doktora, który był zawsze taki dobry dla jej mateczki. Poglądził ją po jasnej głowce i długo patrzył na zmarłą.

— Nieboszcze już nic teraz nie dokuczy, ale co będzie z małą? — wyrzekł.

— Ja biorę Kasię do siebie — odparła Gruczkowska z pewną dumą w głosie.

— Zaczna z pani kobieta. Widzisz Kasiu, Bóg zesłał ci opiekę, a nie zapominaj o mnie, zawsze zrobię dla ciebie, co będzie w mojej mocy.

— Już ja się nią zaopiekuję — chwaliła się Gruczkowska. Ja, mój mąż i moje dzieci będziemy jej nową rodziną. Chodź Kasiu ze mną, nie możesz tu dłużej pozostać.

— Kiedy tu jest moje łóżeczko — szepnęła Kasia.

Doktor tymczasem pożegnał nową opiekunkę i sierotkę.

— Przeniesiemy twoje łóżko — rzekła Gruczkowska, — będziesz w niem spała razem z moją Locią.

— Ja chcę spać sama! — zawołała Locia.

— No, to Kasia prześpi się ze starszemi dziewczynkami.

— My nie chcemy Kasi! — zawołały starsze siostry.

Tymczasem Locia z rozpostartemi rączkami rzuciła się na łóżko Kasi, jak gdyby bronić chciała swej własności.

— Więc gdzież spać będzie? — zawołała Gruczkowska.

— Ułóż jej posłanie na podłodze, — zawołał mąż, który siedział w drugim pokoju, paląc fajkę.

— Masz słusność — odparła żona.

Przeniosła zaraz łóżeczko Kasi do siebie, potem przyniosła dużą wiązkę słomy, rozłożyła ją na ziemi, przykryła prześcieradłem, z kufra wyjęła starą, dziurawą kołdrę i małą poduszkę. — To było posłanie Kasi.

— No, możesz tak przespać kilka nocy — rzekła do sieroty, która wystraszonemi oczami patrzyła na te przygotowania. — Kładź się teraz, bo zaraz zgasze światło.

Dziewczynka rozebrała się, rzeczy ułożyła w nogach posłania i położyła się, patrząc z żalem na swoje łóżeczko.

Ogarnęło ją uczucie zupełnego opuszczenia, ciężkiego sieroctwa.

— Droga, najdroższa mamó — myślała, — przyjdź i zabierz mnie stąd; to tak strasznie być samą! Nie mogła powstrzymać się od płaczu i zalkała głośno.

— Co to znaczy? — krzyknęła Gruczkowska, — teraz trzeba spać, a nie hałasować. Nie płakać, ale cieszyć się powinnaś, że cię dobrzy ludzie przygarnęli.

Kasia nakryła głowę kołdrą, twarz zagłębiła w poduszkę i starała się o ile możności stłumić łkanie. Nareszcie zasnęła.

We śnie widziała swoją mateczkę z jej dobrym, słodkim uśmiechem; mama miała długą, białą suknię i włosy rozpuszczone, a u ramion dwa piękne skrzydła. Jej mama była więc aniołem. Uśmiechała się do Kasi i szeptała:

— Nie lękaj się, córeczko. Bóg zaopiekuje się tobą.

Sierotka poruszyła się, by pochwycić rękę matki, lecz w tej chwili obudziła się i świetlana postać zniknęła. Ten miły sen uspokoił ją trochę. Wszak jej mateczka zawsze nad nią czuwa!

Nazajutrz Gruczkowska ubrała Kasię w czarną sukienkę, przerobioną z sukni nieboszczki; odzywała

się do niej uprzejmiej, niż wczoraj, a nawet dzieciom przykazała, by nie dokuczały dziewczynce.

— Zostawcie Kasię w spokoju i nie męczcie jej. Dzisiaj będzie pogrzeb jej matki, ciężki to dzień dla sieroty.

Raz jeszcze mogła Kasia spojrzeć na matkę i ucałować jej martwe ręce; potem przykryto trumnę i ludzie ponieśli ją na cmentarz; kilku sąsiadów poszło wraz z niemi.

Gdy pogrzebano zwłoki, ksiądz proboszcz zapytał jednego z obecnych, gdzie teraz mieszka sierota?

— Przy nas, księżę proboszczu — odezwała się Gruczkowska. — Sama mam dzieci, więc rozumiem, jak ciężko musiało być matce pomyśleć, że zostawia sierotę bez dachu.

— I przygarnęłaś ją pani?—rzekł proboszcz.— Bóg ci to wynagrodzi.

Gruczkowska chwaliła się swem dobrem sercem, lecz właściwie przygarnęła Kasię dla pieniędzy, które dobroczynna jedna osoba przysyłała miesięcznie jej matce, a teraz przysyłać je będzie temu, kto zajmie się Kasią.

Smutne dni nastały dla sieroty. Opiekunka zrobiła z niej swoją służącą.

— Nie płacz — mówiła jej nazajutrz po pogrzebie,— płaczem nie przywrócisz życia matce. Jeszcze ludzie pomyślą, że źle obchodzę się z tobą. Zaj-

mij się czem, to o smutku zapomnisz. Ot, masz tu kartofle do obierania, a pilnuj przytem, by Zygmus nie wyleciał z kołyski.

— Mamo, niech mi Kasia pomoże odrobić zadanie; ona tak dobrze umie rachować — wołała Stasia, córka Gruczkowskiej.

— Mamo, niech mi Kasia zaceruje kaftanik — wołała druga, — ona uczyła się szycia od matki.

Drobna postać Kasi uginała się nieraz pod ciężarem małego Zygmunia, którego często dźwigać musiała. Dziecko było krzykliwe, rozgrymaszone. Gdy bardzo krzyczało, matka całowała je, pieściła, a Kasia lajała, że nie umie zabawić jej synka.

Choć mały tyran zasnął, Kasia nie miała odpoczynku, to musiała pokój zamieść, to przy praniu pomagać, pończochę robić, to coś naprawić, a Gruczkowska pomimo to wołała, że nie ma z niej dostatecznej pomocy. Dziewczynka chodziła do szkoły, jej opiekunka wołałaby ją w domu zatrzymać; jednak ponieważ ludzie źleby o tem mówili, musiała zatem puścić Kasię do szkoły.

Były to najmiłsze godziny sieroty, gdy siedząc na ławce szkolnej, słuchała wykładów nauczyciela. Zapominała wtedy o swoich smutkach i przykrościach.

Ale z zadaniami lekcjami była bieda, bo kiedyż je odrobić miała? Zawsze zbrakło jej na to czasu

i miejsca. Zaraz po powrocie ze szkoły musiała zabrać się do domowej roboty, a gdy miała jaki wolny kwadransik i nieśmiało stojąc przy rogu stołu, otwierała książkę lub kajet, zaraz Gruczkowska łajac ją zaczynała.

— Cóż się tak rozpościerasz?... niedługo już dla nas miejsca w domu nie zostawisz.

Nauczyciel, pan Szumski, nieraz też strofował Kasię. Zadania piśmienne odrabiane były pośpieszenie lub też wcale nie odrobione; lekcje pamięciowe zaniedbane; ubranie Kasi było też po większej części poplamione, zmięte, a włosy potargane.

— Dawniej byłaś pierwszą uczennicą w klasie, a teraz tak się zmieniała! — mówił pan Szumski. — Twoja opiekunka jest przecież dobrą, zacną kobietą, a ty wywdzięczasz się jej nieuctwem.

Kasia słuchała ze spuszczoną głową i oczami pełnemi łez.

— Czy nie masz czasu na odrabianie zadań?

Dziewczynka nie śmiała wyznać prawdy, bo w tejże klasie była córka Gruczkowskiej, Mania; co by to było, gdyby powtórzyła matce, że Kasia skarży się na brak czasu.

Nauczyciel zaczął teraz uważnie przyglądać się Kasi; widział ją zawsze smutną, bladą i zdjął go żal nad dzieckiem. Postanowił pomówić o niej z Gruczkowską.

Spotkał ją wkrótce podczas spaceru i zapytał, czemu Kasia tak się opuściła w nauce? Gruczkowska przystanęła i zaczerwieniła się z gniewu.

— Ta niewdzięcznica pewno skarżyła się na mnie, a czy to moja wina, że jest leniwą?

— Tego nie mówię, sądzę jednak, że byłoby bardzo dobrze, gdyby pani więcej uwagi na nią zwracała — rzekł nauczyciel, — może trzeba jej pilnować, aby lekcje odrobiła, albo też zbyt wiele czasu zabierają jej domowe zajęcia. Dawniej, kiedy jeszcze żyła jej matka, byłem z niej bardzo zadowolony. Teraz zaniedbuje się nawet w ubraniu, spójrz pani na jej włosy.

— Widocznie dla tej księżniczki trzeba osobnej służącej — wołała Gruczkowska; ale na to niewystarczą te kilka rubli, które odbieram miesięcznie na jej utrzymanie. Ja mam sześćcioro dzieci i cały dom na głowie, nie mogę więc obsługiwać takiej dużej dziewczyny.

— Nikt tego od pani nie wymaga, cała rzecz w tem, aby dziewczyna nie zmarnowała się u pani — nawet w tej kwestji napiszę do osoby, która dla Kasi przysyła pieniądze.

Ta zapowiedź przestraszyła trochę Gruczkowską, która natychmiast przyrzekła, że zajmie się dziewczyną jak najtroskliwiej.

— Jeżeli nie poradzę sobie dobrocią, to poradę złością — dokończyła.

— No, takich sposobów nie należy używać — odparł nauczyciel. — Kasia jest dobrem dzieckiem, wszystko będzie można z nią zrobić łagodnością, nie zaś ostremi środkami.

— Nie bój się pan o nią, już ja spełnię mój obowiązek, — odpowiedziała opiekunka.

Pan Szumski pożegnał ją i odszedł, niezadowolony z tej rozmowy.

— Co zrobiłaś ze swemi warkoczami? — zapytał nazajutrz nauczyciel Kasię, która przyszła do szkoły z ostrzyżonemi włosami.

— Opiekunka obcięła mi je — odparła sierota, — moje włosy były za długie, i nie umiałam ich porządnie uczesać.

Pan Szumski nie odpowiedział, pogładził tylko krótką czuprynkę Kasi i rzekł:

— Jeszcze ci włosy odrosną, moje dziecko.

Jadzia i Zosia rzadko kiedy widywały teraz Kasię i rozmawiać z nią też nie mogły, bo gdy była na podwórzu, to dźwigała zawsze małego Zygmuta, który jej chwili spokoju nie dawał. Nie podobała się teraz dziewczynkom, miała zawsze na sobie czarną, brudną i zmiętą sukienkę, a długie jasne włosy obcięte.

— Już nie chcę wiedzieć o Kasi — mówiła Ja-

dzia. — Ona teraz w niczem się nie różni od tamtych niegrzecznych dzieci. Co powiedziałyby jej matka, gdyby ją teraz zobaczyła!

— Zmartwiłaby się pewno — odparła Zosia, — a może Kasia nie temu nie winna, że ma tak brudne ubranie?... Ma tylko tę jedną sukienkę.

— Jedną sukienkę? — powtórzyła Jadzia niedowierzająco. — To niemożliwe!

Podeszły do sztachet i zawołały:

— Kasiu!

Dziewczynka wskazała ręką na malca.

— Zaraz krzyczy, gdy tylko przystanę — powiedziała, a wtedy pani Gruczkowska mnie łaje.

— Daj mu tę gruszkę — rzekła Jadzia, podając jej owoc — to nie będzie krzyczał.

Rada Jadzi odniosła pożądaný skutek.

— Cóż u ciebie słyhać, Kasiu? — pytały. — Co porabiasz?

— Chciałabym leżeć w grobie, obok mojej mamusi.

— To Gruczkowska zła jest dla ciebie?

— Nie powinnam się skarżyć, bo mi będzie jeszcze gorzej. Sierotom jest zawsze źle na świecie.

— Dlaczego ona ci nie da lepszej sukienki? — mówiła Zosia. — Nosisz ciągle tę samą, tak w niedziele, jak w dzień powszedni; a czemu obcięłaś włosy?

— Włosy obcięła mi pani Gruczkowska, bo za wiele było kłopotu z ich czesaniem. Tę czarną sukienkę mam dlatego, że noszę żałobę po mojej mamusi.

— Lecz później będziesz nosiła twoje dawne sukienki?... Byłaś zawsze tak czysto, porządnie ubrana!

— Nie mam już moich sukienek, bo noszą je dzieci pani Gruczkowskiej; opiekunka mówiła, że wyrosną z nich i na cóż mi się wtedy przydadzą?

Mówiła to wszystko tak obojętnym głosem, jak gdyby już nie ją na tej ziemi nie obchodziło. Jadzia i Zosia patrzyły na nią ze zdumieniem. Gdyby im tak odebrano sukienki i włosy obcięto! — a Julka miała dość kłopotu z czesaniem, i one nie lubiły stać spokojnie, gdy im włosy czesano i szczotkowano.

— My ci damy nasze sukienki — odezwiała się Zosia, a Jadzia ten projekt potwierdziła.

Ale Kasia potrząsnęła głową.

— Na nic się to nie przyda — mówiła. — Zresztą, ja chcę nosić żałobę po mojej matczecce.

— A jednak tak chciałybyśmy ci co podarować — mówiła Jadzia.

Kasia zarumieniła się i szepnęła nieśmiało.

— Gdyby panienki zechciały dać mi trochę kwiatów, zaniósłabym je na grób mamy.

— I owszem! — zawołały dziewczynki, — damy ci ich dużo, pełny fartuszek.

Chciały natychmiast pobiedz po nie, lecz wstrzymała je Kasia.

— Nie teraz, proszę panienek, teraz zabranoby mi je; gdy się ściemni, idę czasami na cmentarz. Czy mogę przedtem wstąpić do panienek?

— I owszem, prosimy, przyjdź do nas — odpowiedziały siostry.

Kasia pożegnała dziewczynki, gdyż pani Gruczkowska wołała ją głośno.

— Czego tam szukałaś pod płotem ogrodowym? — zapytała.

— Panienki z tego białego domu dały Zygmusiowi gruszkę, — odpowiedziała Kasia i tem uspokoiła gniew opiekunki.

Z tęsknotą oczekiwała Kasia końca dnia i szarej godziny, podczas której miała trochę swobody.

Zosia nie oddała Kasi łóżeczka: sierota spała na ziemi, na nędznym sienniku; obok niego stał stolik o trzech nogach, przy którym miała Kasia odrabiać zadania szkolne; tak rozkazała opiekunka po rozmowie z nauczycielem.

Tego dnia nie wiele miała zadanych lekcji, to też mogła wymknąć się niepostrzeżona. Jadzia i Zosia z pękami kwiatów stały już przy płocie, a było ich tak wiele, a wszystkie takie śliczne, że aż Kasia rozśmiała się z radości.

— Ach, jakie śliczne kwiatki i tak dużo! — wołała. — Jakże ja panią kom podziękuję!

— Przychodź często, a zawsze dostaniesz bukiet, — mówiła Zosia — mama nam pozwoliła.

Kasia raz jeszcze podziękowała i pobiegła na cmentarz.

Smutno wyglądała mogiła nie odarniowana jak inne otaczające ją groby, ale na darń zieloną Gruczkowscy nie chcieli dać pieniędzy.

Kasia niezmiernie pragnęła być już dużą, dorosłą osobą, aby móżdż zarabiać, bo wtedy z pierwszych zarobionych pieniędzy postawi matce pomnik.

Dzisiaj przystroiła grób kwiatami i cieszyła się, że chwilowo może piękniej wygląda od innych grobów. Teraz już nawet nie pragnęła, by ją matka widziała, bo nawet w niebie zasmuciłoby ją opuszczenie i ciężkie życie córeczki. Lecz może wtedy uprosiłaby Boga, aby ją zabrał z ziemi?

Wtem przy drzwiach cmentarnych zawołano głośno, że już pora zamknąć bramę i Kasia musiała wracać. Raz jeszcze obrzuciła wzrokiem ukochaną mogiłę, a potem szybko pobiegła w stronę domu, gdzie Gruczkowska przywitała ją połajaniem.

— Znowu byłeś na cmentarzu — zawołała, — nikomu tem nie pomożesz, a tutaj przydaćbyś się mogła. Potrzebuję wody, wiadra puste, pończochy

leżą niepocerowane, Zygmus też lepiej śpi, gdy go kołyszysz.

Tak mijał dzień za dniem, roboty było coraz więcej, a Kasię ciągle spotykały ostre wymówki, ba! nawet szturchańce. Gdy się położyła wieczorem, mogła płakać swobodnie pod kołdrą i myśleć o swojej mamusi, dopóki jej sen nie zmorzył; wczesnym rankiem opiekunka budziła ją znów do ciężkiej pracy.

Jadzia i Zosia obdarzały dziewczynkę kwiatami do późnej jesieni, aby niemi mogła stroić grób matki.

— Dzisiaj dajemy ci już ostatnie kwiaty — mówiły pewnego dnia, wręczając jej pęk astrów i georginji, dzisiaj w nocy był mróz i tatuś kazał pozbiierać wszystkie kwiaty.

— Czemu tak drżysz, zimno ci pewnie w tej lekkiej sukience? — pytała Zosia.

— Poproszę pani Gruczkowskiej, aby mi dała palto, który mamusia dla mnie kupiła, — odparła Kasia.

Kilka dni minęło, a Kasia nie śmiała prosić o swoje okrycie. Pewnego rana zdobyła się jednak na taką prośbę. Gruczkowska popatrzyła na nią z niechęcią.

— Wyrośłeś już z twego okrycia — rzekła — będzie ono w sam raz dla Loci. Ja zaś daruję ci ciepłą chustkę, by nie mówiono, że obdzieram sierotę.

Mówiąc to, wyjęła z szafy starą, zniszczoną chustkę i rzuciła ją zaleknionej dziewczynce.

— Nie dziękujesz nawet — odezwała się po chwili. — Nie spodziewałam się tego po tobie! Gdybym przypuszczała, że przygarniam niewdzięcznicę, byłabym cię zostawiła własnemu losowi. Najlepiej byłoby dla ciebie, gdyby cię oddano do domu sierot.

Kasia nie odpowiedziała na razie, lecz gdy ujrzała Locię w brązowym kaftaniku, który jej nieboszczka mama kupiła, nie mogła wstrzymać się od płaczu.

— Gdyby to mamusia widziała! — szepnęła mimowoli.

— Co ty mówisz? — spytała Gruczkowska.

— Mówi o swojej matce, — odezwała się Licia.

— Czekaj, ja cię nauczę — zawołała z gniewem Gruczkowska i uderzyła Kasię pięścią w plecy. Byłaby ją uderzyła powtórnie, lecz mąż ją powstrzymał.

— Dajże pokój — zawołał — i tak jej wszystko zabierasz!

Tymczasem śnieg pokrył ziemię, a ukochana mogiła Kasi widniała tylko jako maleńkie wzniesienie. Sierota zsiniała od zimna, siedziała nieraz przy tej mogile, owinięta w starą, wytartą chustkę, a łzy tęsknoty za matką nieustannie spływały z jej oczu. Odchodziła, gdy stróż cmentarny przychodził zamknąć bramę.

Zbliżało się święto Bożego Narodzenia, lecz nie cieszyło to wcale Kasię. Któż w tym dniu pomyśli o niej serdecznie? — Nikt! — Gruczkowska często zapewniała, że zaledwie będzie mogła jakie liche podarunki kupić swoim dzieciom, Kasia więc nie mogła spodziewać się, by i ona coś dostała; lecz jej wystarczyłoby choć jedno dobre, życzliwe słowo, do niej zwrócone.

Nadszedł dzień Wigilji. Gruczkowska ustroiła małą choinkę świeczkami i taniemi cukierkami. Wypadało jej obdarować Kasię jakimś drobiazgiem, lecz wcale na to ochoty nie miała.

Zaledwie minęło południe, gdy nadszedł służący pana Konieckiego, ojca Jadzi i Zosi. Pan polecił mu zaprosić na wieczór Kasię, dziewczynki bowiem chciały dać jej jakiś podarek i osobiście świąt powinszować.

— Pan Koniecki jest bardzo dobry — odpowiedziała Gruczkowska, — tam we dworze musi być śliczna choinka, mnie na taką nie stać, ale i jabym przecież o Kasi nie zapomniiała. Umyj się i ubierz czysto — dodała, zwracając się do dziewczynki, — panienki ze dworu zaprosiły cię do siebie. Szkoda, że nie pomyślały o moich dzieciach, za mój trud, za moją pracę dla ciebie, mogłyby pamiętać i o moich dziewczynkach. Miałam ci dać chusteczkę na

szyję i dwa pierniki, lecz ponieważ idziesz do dworu, schowam je dla moich dzieci.

Dziewczyńce serce biło z radości, gdy wychodziła z domu. Jakże potrafi wywdzięczyć się Jadzi i Zosi za ich dobroć. To już pewno mateczka wyprosiła dla niej tę radość; widziała pewno, jak jej dziecko jest tu na ziemi biedne i opuszczone!

Gdy stanęła przy drzwiach dworu, zatrzymała się onieśmielona i dopiero po kilku minutach odważyła się wejść do sieni.

Właśnie w tej chwili Jadzia i Zosia przebiegały przez sieni; spostrzegłszy Kasię, przywitały się z nią.

— Jak to dobrze, że przyszłaś nareszcie — zawołała Jadzia, — już mnie niecierpliwosć ogarniała!

— Mamusia już poukładała wszystkie podarki pod drzewkiem, ale ich jeszcze nie widziałam — mówiła Zosia. — Niedługo już zawoła nas mamusia do choinki. Chodź tymczasem, Kasiu, do naszego pokoiku.

Weszła sierotka i zdawało jej się, że śni. Tak tu było czysto, ładnie, spokojnie.

— Ach, żeby to nas jak najprędzej zawołano do salonu, tak to długo trwa! — mówiła Zosia.

Nareszcie weszła Julka, a zanim zdążyła powiedzieć po co przyszła, dziewczynki pochwyciły Kasię za rączki, wołając: — Chodź z nami — i pociągnęły ją z sobą do bawialni z okrzykiem:

— Ach, jaka śliczna! — patrz Kasiu!

Rzeczywiście choinka płonęła tak silnym blaskiem, że dzieci aż oczy zmrużyły, ale obiegły drzewko naokoło. Mamusia zaprowadziła córeczki do stolika, na którym leżało kilka ślicznych książeczek i różne zabawki.

Dziewczynki na razie oniemiały z radości.

Chwilowo zapomniały o Kasi; sierotka stała przy drzwiach, bo dalej wejść nie śmiała, patrzyła tylko z zachwytem na płonące drzewko. Na samym jego wierzchołku biały anioł trzymał w ręku złotą gwiazdeczkę. Poniżej wisiały wśród świecących kolorowych kulek, całe wieńce fig, daktyli, rodzenków, jabłek, koszyczki z bibułki napelnione orzechami, migdałami i cukierkami.

Gdy tak stała wpatrzona w tę prześliczną choinkę, ktoś wziął ją za rękę i rzekł łagodnym głosem:

— Chodź, Kasiu, i dla ciebie jest gwiazdka.

Kasia spojrzała, kto do niej mówi. Była to sama pani. Podeszła z nią do drugiego stoliczka, na którym leżało ubranie, grube, ciepłe okrycie, wełniane rękawiczki, fartuszek, a oprócz tego obok ładnej lalki, leżała książka. Dziewczynka stanęła jak wryta, nie mogła uwierzyć, by te wszystkie śliczności mogły do niej należeć.

— Kasiu — zawołała Jadzia, — nie cieszysz się wcale?

— Podoba ci się sukienka? — pytała Zosia, — a fartuszek? — Same uszyłyśmy go dla ciebie!

Lecz radość Kasi była tak wielką, że przemówić nie mogła. Zosia i Jadzia zaczęły rozkładać ubranie, aby sierota lepiej przypatrzeć mu się mogła.

— I to wszystko dla mnie? — szepnęła wreszcie Kasia. — Ach, gdyby mamusia moja to widziała!

Tymczasem Jadzia i Zosia zaczęły ubierać Kasię w nowe ubranie; uszczęśliwiona dziewczynka, gdy już przypasano jej fartuszek, wzięła na ręce swoją śliczną lalkę.

— Nazwę ją Anną, takie imię miała dawna moja lalka i będę jej mówić o wszystkim... o wszystkich moich smutkach, o tem co myślę, ona mnie zawsze wysłucha.

— A tu są dla ciebie pierniki, jabłuszka, bakalje — mówiła Zosia.

— I to jeszcze? — pytała sierotka, zdumiona ilością otrzymanych darów.

— Naturalnie, skosztuj tego piernika, jaki doskonały! — zachęcała Jadzia.

Wzruszenie nie pozwalało jednak Kasi skosztować piernika, dusiły ją łzy rozrzewnienia. Całowała tylko ręce pani.

— A teraz chodź, zobacz Kasiu, jakie śliczności my dostałyśmy!

Były to jednak tak piękne rzeczy, że Kasia

umiała je tylko podziwiać; swojej lalki nie wypuściła jednak z rąk i co chwila przyciskała ją mocno do siebie.

Wreszcie przyszło jej na myśl, że może już za długo korzysta z zaprosin dziewczynek, powiedziała więc:

— Pójdę już teraz do domu.

Lecz Jadzia i Zosia ani słyszeć chciały o jej odejściu.

— Zostaniesz z nami — mówiły, — dopóki mama nie powie, że już jest późno i że już czas spać.

Kasia bardzo chętnie została. Rozglądała się wciąż wokoło, tak jej tu było dobrze, ach! jak dobrze. Ośmielona serdecznem przyjęciem, szepnęła coś Zosi do ucha, a dziewczynka twierdząco skinęła główką.

— Co ona ci tam szepece? — zapytała ciekawie Jadzia.

— Kasia chciałaby zobaczyć się w lustrze, w swem nowem ubraniu, — objaśniła ją Zosia.

Poprowadziły więc dziewczynkę do pokoju mamy, gdzie stało duże lustro i Kasia musiała przed niem obrócić się na wszystkie strony.

— Spójrz, jak ładnie wyglądasz — mówiły, — fartuszek trochę za luźny, ale to łatwo da się poprawić.

Kasia przyglądała się długo samej sobie, wreszcie rzekła:

— Czy to doprawdy ja jestem? Czy to ja siebie widzę?... Ależ ja wyglądam jak jaka królewna z bajki!

Tymczasem przygotowano herbatę w jadalnym pokoju; Kasia usiadła przy stole między Jadzią i Zosią; po herbacie dziewczynki śpiewały kolendy.

Wreszcie przyszła smutna dla sieroty chwila rozstania.

— Moja mamó, niech Kasia u nas na noc zostanie, my ją jutro dopiero puścimy — mówiła Zosia.

— Nie można, w domu mogą się o nią niepokoić, Kasia musi wrócić do swej opiekunki.

Służąca odprowadziła ją do Gruczkowskich.

— Wróciłaś nareszcie! — zawołała opiekunka, — ho, ho! jak cię pięknie ustroiłi! A co tam masz w koszyku?

Dzieci rzuciły się na koszyk; wydobyły z niego stare ubranie Kasi, lalkę, jabłuszka i pierniki.

— Uważajcie — prosiła dziewczynka, widząc, jak Locią potrząsa lalką, — potłuczysz mi Anusię.

— Lalka dla takiej dużej dziewczyny — odezwiała się niechętnie Gruczkowska, — tego tylko brakowało! I tak nie robi, jeszcze będzie się lalką bawiła. Możesz ją Lotce darować.

Mówiąc to, podała lalkę córce. Kasi lzy zabłysły w oczach.

— To przecież moja lalka! — zawołała.

— Ach, ty niewdzięczne stworzenie — odpowiedziała Gruczkowska, — sama powinna byłaś dać tę lalki Loci. Za karę odbieram ci książkę, fartuszek i rękawiczki. Franuś! masz rękawiczki, a tę książkę z pięknymi obrazkami wpierv przeczyta Pawełek; ty zaś, Hanusiu, weź fartuszek. Każde z was niech też weźmie sobie po pierniku i po jabłku.

Gdy tak rozdzieliła wszystko pomiędzy dzieci, nie prawie Kasi nie zostało. Dziewczynka gorzko płakała; byłaby oddała z chęcią wszystko, prócz lalki, a tę najpierv jej zabrano! Zdjęła nową sukienkę i chciała udać się z nią do swego kącika, lecz Gruczkowska ją zatrzymała.

— Czekaj, twoja sukienka u mnie zostanie; teraz chodzisz jeszcze w żałobie, później zobaczymy.

Kasia oddała sukienkę Gruczkowskiej, wiedząc, że już jej nigdy nie odbierze. Biedne dziecko udało się na spoczynek z ciężkiem sercem; wstrząsana łkaniem, zaczęła cichutko przemawiać do swej mateczki:

— O mamó, droga mamó, zabierz mnie stąd, weź mnie do siebie!

Zasnęła wreszcie. We śnie znów widziała swoją mamę, która pochyliwszy się nad nią, szepnęła słodko «już wkrótce.»

Te wyrazy dodały sierocie otuchy po obudzeniu.

Smutno zeszyły jej dni świąteczne, a potem zno-

wu zaczęła się ciężka praca. Gruczkowska ciągle ją lajała.

Locia zaraz w pierwszy dzień Świąt rozbiła lalkę, Pawelek zniszczył książkę, a o resztę rzeczy Kasia nawet nie pytała.

Od Jadzi i Zosi nie miała żadnej wiadomości; dopiero w parę tygodni później posłyszała, że dziewczynki zachorowały na szkarlatynę.

O zmroku Kasia pobiegła do dworu; na dziedzińcu spotkała Julkę i dowiedziała się od niej, że choroba jest bardzo ciężka.

Wróciła i dnia tego modliła się bardzo gorąco do Boga, aby powrócił zdrowie jej przyjaciółkom; prosiła, aby je Pan Bóg przy życiu zostawił, a ją natomiast zabrał z tej ziemi, gdzie jej było tak smutno, tak tęskno za mateczką! Pan Bóg jednak tylko w polowie wysłuchał modłów sieroty; gdyż pomimo głodu i ciężkiej pracy, Kasia była zdrową, tylko bardziej zbladła i mało sił miała.

Dziewczynki tymczasem wyszły z niebezpieczeństwa, lecz zdrowie wracało im bardzo powoli. Nie wolno im było wychodzić z domu aż do końca zimy.

— Wiedzą panienki — mówiła Julka, — że Kasią często zachodzi tutaj i pyta o ich zdrowie.

— Ach, jak chętnie zobaczyłybyśmy ją, niech mama pozwoli jej przyjść do nas!

— Nie można, moje dzieci, Kasia mogłaby się jeszcze zarazić chorobą waszą; skoro będziecie zupełnie zdrowe, to przyjdzie do was.

Nadszedł nareszcie piękny, ciepły dzień wiosenny: Jadzia i Zosia po raz pierwszy wyszły z domu do ogrodu.

Pobiegły zaraz w stronę płotu, by zobaczyć Kasię. Przywołały sierotkę i długo opowiadały jej o swojej chorobie.

— Kasiu, nie widziałyśmy cię tak dawno!

— Bo panienki chorowały, a ja też bardzo dużo mam zajęcia.

— Moja Kasiu, jak to nudno chorować — skarżyła się Jadzia — tak się nam pić chciało ciągle; doktor mówił, że to z gorączki.

— Mama dawała nam kwiat lipowy z sokiem malinowym i sok z pomarańczy — dodała Zosia.

— Później byłyśmy zdrowsze i mamusia opowiadała nam różne bajki i prawdziwe historie, ale musiałyśmy jeszcze leżeć w łóżku.

— Ja pierwsza wstałam! — chwaliła się Zosia.

— Bo też pierwsza zachorowałam, na dwa dni przede mną. A ty Kasiu, czy chorowałam kiedy?

— Nie, nie przypominam sobie. Ach prawda, jeszcze za życia mamusi, gardło mnie bardzo bolało, wtedy leżałam parę dni.

— Wiesz, Kasiu — mówiła Zosia, — od czasu

choroby nie mamy wcale lekcji, zaczniemy uczyć się dopiero po wakacjach; doktor kazał nam dużo spać i dużo jeść, pić mleko i jeść jak najwięcej owoców. Jutro pojedziemy z mamą do babci.

— Zosiu! Jadziu! — rozległ się głos Julki. — Chodźcie na obiad!

— Zaraz idziemy! — odpowiedziały dziewczynki. — Do widzenia, Kasiu! Do widzenia! Bywaj zdrowa!

Nazajutrz siostrzyczki wyjechały z mamą do babki; miały tam pozostać aż do lipca.

Kasia miała wtedy bardzo wiele zajęcia. Po obiedzie w godzinach wolnych od zajęć szkolnych, chodziła do lasu, by nazbierać poziomek. W lesie było tak pięknie; pachniały kwiaty, ptaszki śpiewały, lecz Kasi nie cieszyło to wcale; ona tylko szukała poziomek, bo gdyby nie przyniosła pełnego dzbanka, dopierożby ją Gruczkowska złażała! Jednak to codzienne chodzenie do lasu było dla niej o tyle przyjemnem, że mogła zbierać bukiet polnych i leśnych kwiatów. A ponieważ droga z lasu prowadziła około cmentarza, Kasia wstępowała i stroiła grób matki świeżemi wieńcami i bukietami.

Wśród lata Jadzia z Zosią wróciły; zaraz wybiegły do ogrodu i zobaczyły Kasię, niosącą w garnuszkach poziomeki.

— Kasiu, Kasiu! — zawołały, — chodź tutaj!

Potem pobiegły do mamy z prośbą, by kupiła od Kasi poziomek.

Mama kupiła, a dziewczynki prosiły, aby Kasia codziennie przynosiła im poziomek.

— Jaka ty jesteś szczęśliwa — mówiła Zosia, — chodzić po lesie i zbierać poziomeki, to wielka musi być przyjemność! Przytem możesz chodzić boso, a ja bardzo lubię chodzić boso.

— Gdybyśmy to mogły pójść razem z tobą! — westchnęła Jadzia. — Wzięłybyśmy z sobą cukru, śmietanki i jadłybyśmy poziomeki w lesie.

Kasia potrząsnęła głową.

— Mnie nie wolno jeść poziomek. Jak tylko uzbieram pełen dzbanek, muszę wracać do domu, inaczej źle byłoby ze mną.

— Biedna Kasiu, ależ tak być nie powinno, my to powiemy pani Gruczkowskiej. Wiesz, my ci nawet pomożemy. We trzy bardzo prędko uzbieramy pełen dzbanek. Zapytamy mamusię, czy pozwoli nam iść z tobą do lasu.

Lecz ojciec oparł się ich życzeniu.

— Moje dzieci, zbieranie poziomek to męcząca przyjemność — wyrzekł, — przytem w lesie tym są podobno żmije.

— Ach, Boże! — zawołały dziewczynki, — to i Kasia chodzić tam nie powinna. A czy to się umiera od ukąszenia żmii? — pytała Zosia.

— Ukąszenie to jest bardzo niebezpieczne, — mówił ojciec — lecz nie koniecznie śmiertelne. Są na nie różne lekarstwa, ale najlepszem jest wyssanie krwi z rany, naturalnie, jeśli ktoś nie ma ust skaleczonych, bo wtedy mógłby zachorować.

— Jakież to straszne! ach, żeby to Kasia nie chodziła do lasu!

— Ja jednak nie słyszałam dotąd, aby kogo zmija ukąsiła — odezwała się Zosia.

Dziewczynka ogromnie była niezadowolona z kazu ojca, i miała ochotę pójść do lasu. Szkoda, myślała, że zapytałam o pozwolenie!... Gdyby były poszły bez pytania, mogłyby zasłużyć na nazwę niegrzecznych, teraz byłyby już nieposłuszne.

Zosia jednak bywała czasami nieposłuszna.

Nazajutrz, skoro tylko weszła do ogrodu, coś ją ciągnęło do furtki wiodącej na łąkę, po za którą czerniał las upragniony. Stała tu długą chwilę, wreszcie otworzyła furtkę.

— Jakaż to śliczna łąka! — zawołała. — Tyle tu kwiatów, a nad nimi fruwa tyle różnych motyli.

— Ach, jak tu pięknie! — wołała Jadzia. — Jaka szkoda, że nie wolno nam chodzić po łące!

— Bo łąka nie jest nasza, ale my tylko chwilę po niej pochodzimy — mówiła Zosia. — Przecież zaraz wrócimy do ogrodu.

Przestąpiła próg furtki; za nią podążyła Jadzia, chociaż z pewnem wahaniem.

— Trzeba było poprosić Julkę, aby z nami poszła — mówiła.

— Julka nie ma czasu — odparła Zosia.

Wkrótce były już na środku łąki, uganiając się za motylami i zbierając kwiaty.

— Zrobimy duży bukiet i damy go Kasi na grób jej mamy — rzekła Zosia.

Zbierając tak kwiaty, zbliżyły się do lasu. Zaraz z brzegu Jadzia znalazła jedną poziomkę, a Zosia wkrótce zobaczyła ich mnóstwo. Były już zatem przy lesie... ach, gdyby mogły tam wejść!

— Patrzo Jadziu, ile tu rośnie poziomek, widzcie je zdaleka!

— A może Kasia jest w lesie?

Zaczęły głośno wołać:

— Kasiu! Kasiu!

Jakiś głos im odpowiedział i po kilku chwilach sierotka ukazała się na brzegu lasu.

— Dużo już nazbierałaś? — pytały.

Kasia pokazała im prawie pełny dzbanek.

— W tej stronie rośnie najwięcej poziomek — objaśniła dziewczynki.

— Do lasu wejść nie możemy, lecz i tu jest dużo poziomek — rzekła Zosia, — my je tylko tutaj będziemy zbierały.

— Tak panienko, ale niech panienka będzie ostrożną, bo podobno w tych krzakach, koło kamieni, są żmije.

— Widziałas choć jedną? — pytała Jadzia.

Kasia przecząco potrząsnęła głową.

— Ja nie wierzę w te żmije, to pewno bajki! — zaręczyła Zosia. — Choć na chwilę wejdźmy do lasu!

Hop! — i jednym susem przeskoczyła rowek dzielący łąkę od krzaków; za nią pobięła Jadzia.

Zaczyły zbierać poziomki, Kasia w dzbanek, a siostry do buzi.

— Muszę jeszcze zdjąć pantofelki i pończochy, będę boso, tak jak i ty, to będzie wygodniej — zawołała Jadzia i zaraz wzięła się do dzieła.

— Gdyby to Julka widziała! — szepnęła Zosia, lecz sama także zdjęła obuwie.

— Choć raz przejdę się boso! — wołała.

— Nie wielka to przyjemność chodzić boso po lesie! — westchnęła Kasia.

Siostry z początku cieszyły się, lecz wkrótce ostre kamyki, igły i drobne gałązki poczęły kłuć je w nogi niemiłosiernie, zbierały jednak dalej poziomki.

Wtém Jadzia nastąpiła na coś zimnego i ślizkiego. Dziewczynka cofnęła się i jednocześnie poczuła ukłucie. Spojrzała z przestachem i zobaczyła żmiję pełznącą. Z okrzykiem bólu upadła na ziemię, a żmija zniknęła w krzakach.

— Żmija! żmija mnie ugryzła!... Kasiu! chodź tutaj! ja umrę! — wołała przerażona.

Zosia i Kasia stanęły jak wryte.

— Skaleczyłaś się może cierniem — szepnęła drżąca z trwogi Zosia — i myślisz, że cię żmija ukąsiła.

— Nie, widziałam żmiję — płakała Jadzia, pokazując stopę, na której krwawiła się mała, okrągła ranka.

— Ach, Boże!... Cóż my teraz zrobimy? — szepnęła Zosia.

— Pobiegnij Zosiu do domu, wołaj o pomoc! — radziła Kasia.

— Nie, ty lepiej pobiegnij, ja zostanę z Jadzią.

— Nie, Zosiu, ty idź, a ja tymczasem wysę krew z rany, tak trzeba zrobić, słyszałam to od nauczyciela.

— Kasiu, nie rób tego, potem możesz sama umrzeć! — łkała Jadzia.

— Co mnie po życiu! — odparła Kasia — chętnie dam je za panienkę. Panienka zawsze była dla mnie taka dobra. Ja pójdę do mojej mateczki. Wy dbajcie tylko o jej mogiłę!

Przyklekła i zaczęła wysysać ranę. Zosia tymczasem biegła co sił starczyło ku domowi. Jadzia leżała ogłuszona, otumaniona przestachem.

— Ja pewno zaraz umrę! — szeptała.

Kasia ssała wciąż ranę.

Wkrótce nadbiegł ojciec dziewczynek. Przy-
niósł koniaku, araku, zapalek, co mu w rękę wpadło.
Uniósł Jadzię z ziemi i dał jej napić się koniaku.

— Musisz to wypić, dziecko, jest to lekarstwo
od ukąszenia żmii.

Potem obejrzał ranę, teraz już prawie nieznaczną.

— Kasia krew wyssała! — rzekła Jadzia.

— Jakto, Kasiu, nie obawiałaś się? — zawołał
pan Koniecki. — Teraz sama możesz zachorować; na-
pij się prędko koniaku, masz dziecko, pij prędko!

Kasia posłuchała i napiła się. Wkrótce przy-
jechał doktor i powiedział, że kuracja Kasi była naj-
lepszą. Obejrawszy nogę Jadzi, zwrócił się do Kasi.

— Napij się jeszcze trochę koniaku.

— Proszę pana — rzekła, — już mnie się w gło-
wie kręci od tego lekarstwa!

— Nic nie szkodzi, musisz wypić kieliszek,
a teraz otwórz usta, pokaż mi zęby, gardło.

— Ee... nic jej nie będzie! — rzekł.

Zaniesiono do domu obie, Jadzię i Kasię, i poło-
żono. Natychmiast zasnęły twardo, w skutek wypię-
cia mocnych trunków. Na usilne prośby Zosi, ma-
ma pozwoliła jej pozostać w tym pokoju.

Rodzice nie robili jej wymówek, widzieli, jak
szczerze żałuje swego nieposłuszeństwa, jak głęboko
cierpi z tego powodu.

Kasia i Jadzia przespały całą noc i obudziły się
nazajutrz dopiero około południa; głowy im ciężły
i zmęczone były, jakby wcale nie spały. Doktor za-
pewnił, że są to tylko skutki upicia się, że to prze-
jdzie, a niebezpieczeństwo spowodowane ukąszeniem
żmii, nie grozi wcale Jadzi, dzięki poświęceniu Kasi.

— I ona będzie zupełnie zdrowa! — rzekł doktor.

Sierota została jeszcze do wieczora. Otoczona
miłością i staraniem, czuła się jak w raju; ze strachem
myślała tylko, co ją spotka w domu i jak ją
przyjmie opiekunka.

Lękała się bardzo!

Tymczasem rodzice Jadzi postanowili, przez
wdzięczność dla sieroty, zająć się jej losem. Powie-
dzieli to dziewczynkom.

— Ach, jak to dobrze, jaki ten tatuś i mamu-
sia są dobrzy! — wołała Jadzia. — To Kasia na zawsze
zostanie u nas?

— Zostanie, a będziecie ją kochały?

— Będziemy ją kochać jak siostrę, przecież to
ona uratowała Jadzię — mówiła Zosia.

Kasia była już w sieni i chciała wracać do do-
mu. Dziewczynki wybiegły za nią i wołały:

— Kasiu, Kasiu, nie odchodź! zostaniesz u nas
na zawsze, już nie wrócisz do pani Gruczkowskiej!

Kasia osłupiała, nie chciała wierzyć w to nie-

spodziewane szczęście. Gdy wreszcie oprzytomniała ze wzruszenia, szepnęła, składając ręce:

— Gdyby moja mamusia wiedziała o tem!

— Ona patrzy z nieba na ciebie, — odezwał się ojciec Jadzi i Zosi — bądź zawsze taką, jak teraz, dzielną i zacną dziewczynką, a jej błogosławieństwo zapewni ci szczęście.

Jadzia i Zosia słuchały mowy ojca ze spuszczo-nemi oczami; Kasia była dzielną i zacną, a one — nieposłuszne i lekkomyślne! Milcząc, ucałowały ręce ojca.

On zrozumiał, co działo się w ich serduszkach, przyciągnął je do siebie i rzekł:

— Wiem, co myślicie, i nie wątpię, że od dzisiaj będziecie posłuszne. Nie chcę was karać, bo wierzę, że to zdarzenie wpłynie na waszą poprawę.

Kasia, chociaż jeszcze osłabiona, pragnęła natychmiast pobiedz na cmentarz, by zwierzyć się swojej matce; zdawało się jej, że mama lepiej ją usłyszy, gdy opowie wszystko na jej mogile.

Lecz nowi przybrani rodzice oparli się temu żądaniu.

Kasia przyjęła ich odpowiedź z wielkim smutkiem. Zrozumieć tego nie mogła, dlaczego jej zabraniają iść na grób matki?...

Tego samego dnia zawiadomiono panią Grucz-

kowską, że rodzice Jadzi i Zosi zatrzymują Kasię i biorą ją pod swoją opiekę.

Wobec tej nagłej zmiany losu sieroty, Gruczowska poczuła zazdrość wielką. Czemu to takie szczęście nie spotkało której z jej córek!

— Jak się to szczęści tej Kasi — mówiła do męża. — Będzie z niej teraz panienka! A umarłaby z głodu, gdybyśmy jej nie przygarnęli.

— Przecież płacili nam za nią, — odparł mąż.

— Wielkie wynagrodzenie! pięć rubli miesięcznie! Naszemi dziećmi to się nikt nie zaopiekuje, czy to one gorsze od Kasi?

— Co też ty mówisz, kobieto! — oburzył się Gruczowski. — Nasze dzieci mają rodziców, i póki mi sił starczy, to im niczego nie zabraknie; głodu, ani chłodu nie cierpią.

— Zawsze przydałoby się trochę pieniędzy.

— Przydałoby się! — przedrzeźniał ją mąż. — Nie bądź taką chciwą i zazdrosną, bo cię za to kara Boża spotkać może. A jeśli się poszczęściło sierocie, tem lepiej.

Temi słowy zamknął usta żonie.

Dwa tygodnie minęły. Kasia jeszcze nie była na grobie matki. Zosia i Jadzia nieraz o czemś między sobą szeptały; widocznie chciały zachować przed Kasią jakąś tajemnicę.

Aż tu pewnego ranka, podbiegły do niej, mó-

wiąc, żeby się wybrała, gdyż razem pójdą na cmentarz.

— Opiekunowie na to nie pozwalają, odpowiedziała Kasia — patrząc smutnie na przybranych rodziców.

— Owszem, Kasiu, dziś możesz pójść na grób matki.

Poszła, a gdy stanęła na cmentarzu, zobaczyła zamiast mogiły pokrytej piaskiem, wzniesienie obłożone zieloną darnią, a na niem krzyż dębowy, na którym była tablica z imieniem i nazwiskiem zmarłej.

Ze łzami radości w oczach przypadła Kasia do mogiły, całując ręce pańienek, a za powrotem ręce ich rodziców.

Przybrani jej rodzice spełnili najgorętsze jej życzenie. Jej droga mateczka miała pomnik i grób zielonością okryty.

Chcecie wiedzieć, o dalszych losach Kasi?

Odtąd chowała się między dziewczynkami, była zawsze dobrą i posłuszną i zawsze szczerze wdzięczną swym opiekunom, a całym sercem przywiązaną do Jadzi i Zosi. One wzajem nie dały nigdy uczuć Kasi sieroctwa. Chodziła do szkoły i nauczyciel był znów z niej zadowolony, stawiał ją nawet za wzór innym dzieciom.



GUCIO.

Mały Gucio ciężko chorował na szkarlatynę, a chociaż choroba minęła, z trudnością powracał do zdrowia; był ciągle osłabiony i nie bawiły go ani śliczne zabawki, ani książki z pięknymi obrazkami, ani bajki, które dawniej tak lubił słuchać. Czasem odwiedzały go znajome dzieci, lecz jego mali przyjaciele zanadto hałasowali, a to Gucia bardzo męczyło. Odwracał wtedy głowę do ściany, gdyż większą część dnia spędzał w łóżeczku, i przymykał oczy. Wtenczas dzieci wychodziły z pokoju, sądząc, że śpi; lecz on zaraz po ich wyjściu otwierał oczy.

— Mnie lepiej, gdy jestem sam — mówił.

Stan zdrowia Gucia niezmiernie martwił rodziców.

— Panie doktorze, czyżby ta choroba na zawsze zabrała siły naszemu chłopcu? — pytała matka.

Doktór pocieszał ich.

— Zobaczycie państwo — mówił — skoro na wieś wyjedzie, słońce i świeże powietrze uzdrowią chłopczyka.

To też za ledwie nastały ciepłe dni majowe, mama najęła pod miastem domek i wyprowadziła się do niego wraz z Guciem. Okolica była górzysta, pokryta lasem; mogło to zbawiennie wpłynąć na zdrowie chłopczyka, ponieważ mały chory potrzebował głównie spokoju i świeżego powietrza.

Wkoło domu był ogródek z krzewami i kwitnącymi roślinami, była tam również altanka, obrośnięta winem. Wprost domku ciągnęła się niewielka łączka, po za nią widać było mały, czysty domek z dużym ogrodem, w którym rosły cieniste lipy i kasztany.

Guciovi bardzo podobało się to sąsiedztwo, domek wyglądał tak przyjemnie.

— Kto też tam mieszka, mamo? — pytał Guccio.

Ale o tem nie wiedziała ani mama, ani jego niania, ani nawet służąca, która pochodziła z odległej wsi.

Mineło kilka dni. Guccio siedział na swym fotelu przed domem; lecz ani piękny widok, ani świeże, wonne powietrze lasów nie orzeźwiły go dotąd. Siedział z oczami przymkniętymi, bez ruchu, bez sił i chęci do czegokolwiek.

Matka była bardzo smutna, widząc, że polepszenia w zdrowiu dziecka jeszcze nie ma; napisała właśnie o tem tatusiowi.

Po skończeniu listu poszła zobaczyć, co porabia Guccio. Zostawiła go w ogródku pod opieką starej niania, Klimeckiej, której nazwisko chłopczyk przeobraził na Klimową.

Klimowa była bardzo dobrą kobietą; tak kochała swego wychowanka, że dałaby się zabić za niego, lecz nie bardzo umiała obchodzić się z choremi. Lubiła wiele mówić, namawiała go aby spał lub jadł wtedy, kiedy chłopczyk nie miał ku temu ochoty.

Guccio nie miał i dzisiaj wcale chęci do rozmowy. Klimowa widząc jego zgnębioną i znudzoną minę, zaczęła mu robić wymówki.

— Mój Guccio, gdyby Guccio chciał, toby już dawno był zdrow i wesół, na równi z innymi dziećmi; a tak i sam jesteś chory, nie możesz biegać i skakać jak dawniej, i martwisz rodziców.

— Niech mi Klimowa da spokój! — skrzywił się Guccio — niech Klimowa do mnie nie mówi, bo mnie to męczy.

W głębi duszy Guccio czuł, że gdyby starał się trochę zapanować nad sobą, gdyby zechciał zająć się jakąkolwiek książeczką, zabawką, to może prędzej odzyskałby zdrowie. Lecz te dobre myśli odpędzał od siebie, niewygodnie mu z nimi było.

— Niech mnie Klimowa zawiezie na łąkę —
wyrzekł słabym głosem.

— Dobrze, kochanie.

Zawiozła go na łąkę i spytała:

— A teraz czego chcesz jeszcze, mój skarbie?
Może ci kwiatków nazbierać, może koników polnych
nałapać, a może bajkę opowiedzieć?

— Wszystkie bajki umiem już na pamięć —
skrzywił się chłopczyk. — Niech mi Klimowa da spokój,
najlepiej mi jest, gdy Klimowa siedzi cicho.

— Nie dobry jesteś, Guteczku — westchnęła
niańka, lecz nie chcąc go drażnić, usunęła się pod
drzewo, stojące o kilka kroków za fotelem.

Gucio przyglądał się teraz błękitowi nieba, to
znów łące, bujnie kwiatami zarosłej. Nad kwiatami
brzęczały pszczoły, uwijały się wśród roślin przeróż-
ne owady, z lasu dolatywał śpiew ptasząt, tylko ludzi
nie było tu wcale. Guccio zatęsknił nagle za towa-
rzystwem.

Gdyby przy nim było jakie znajome dziecko!

Znowu przyszło mu na myśl pytanie:— Kto też
mieszka w tym domu naprzeciwko?

Wtem przez otwarte jego okna wybiegł śpiew
kobiecy dźwięczny i miły:

Oj płynie Wisła, płynie,
Po polskiej krainie,

Oj, zobaczyła Kraków,
Pewno go nie minie.

Jakże mu się podobał ten śpiew! Przez chwilę
i on miał ochotę śpiewać. Potem rozległo się wesołe
szczekanie psa i jakaś dziewczynka stanęła w furtce
wiodącej do ogrodu i do tajemniczego domku. Dziew-
czynka miała jasne blond włosy, wesoło patrzące błę-
kitne oczy, a wyraz dobroci i łagodności rozlany na
całej twarzyczce, musiał każdego dobrze ku niej uspo-
sobić. Tak przynajmniej myślał Guccio, patrząc na
nią z zajęciem.

Jej czarny skaczący piesek bardzo mu się też
podołał. Dziewczynka niosła w ręku dzbanek, z któ-
rym szybko pobiegła do strumienia, płynącego wzdłuż
łączki; na strumieniu był mostek, a oprócz tego kład-
ka. Napełniła dzbanek wodą, kropnęła nią w stro-
nę pieska, który zaczął jeszcze głośniej szczekać i jesz-
cze przedź harcował koło dziewczynki.

Czekała go jednak niespodzianka. Jego właścici-
cielka korzystając z chwili, w której oparł swoje łapy
na jej ramieniu, pochwyciła go i wrzuciła do wody.

— Umyj się, Burek, umyj! — wołała. Pies tym-
czasem wyskoczył ze strumyka, otrząsnął się, rozsy-
pując w koło krople wody, błyszczące w słońcu jak
kulki tęczowe.

To wszystko tak podobało się Guciovi, że za-
czął się śmiać.

Dziewczynka wracając z wodą do domu, spostrzegła chorego chłopczyka i przystanąła zdziwiona. Dotąd nie widywała obcych ludzi na tej łące, piesek zaś poskoczył ku Guciovi, chcąc przekonać się, co to za nowy gość tu zawitał.

Gucio skinął przyjaźnie główką w stronę nieznaney dziewczynki, a pieska pogłaskał.

— Dzień dobry, mały — rzekła dziewczynka idąc ku niemu, — skąd się tu wzięłeś?... Nie widziałam cię dotąd.

— Nazywam się Guccio — odpowiedział — niania przywiozła mnie tu, bo tu jest bardzo ładnie.

— To prawda — potwierdziła. — A ja nazywam się Zuzia, mieszkam w tym domku.

— Domek bardzo mi się podoba i piesek także — mówił Guccio. — A jak on się nazywa?

— Burek — moja siostra tak go nazwała.

— Ten Burek tak patrzy — zauważył chłopczyk — jak gdyby rozumiał każde nasze słowo. To rozumny piesek. A gdzie jest twoja siostra? Czy podobna do ciebie? Czy taka wesoła jak ty, Zuziu?

Dziewczynka roześmiała się.

— Zaraz zobaczysz — odpowiedziała, potem zwróciła się w stronę domku i zaczęła wołać: Maniu! Maniu!

Wkrótce skrzypnęła furtka ogrodu i ukazała się w nich dziewczynka, starsza od Zuzi. Miała czarne

włosy i czarne oczy; w rękę trzymała duży pęk kwiatów, z których właśnie układała bukiet.

— Patrz, Maniu — wołała Zuzia, — mamy tu gościa, tego chorego chłopczyka, któremu nasza łąka tak bardzo się podoba.

— Jakie ty masz śliczne kwiaty, Maniu! — mówił Guccio.

Mania przeszła przez mostek, a gdy stanęła koło Gucia, uchyliła fartuszkę.

— Wybierz sobie z tych kwiatków te, które ci się podobają.

Guccio wybrał sobie kilka róż, lecz Mania dołożyła mu jeszcze goździków, rezedę, bratków. Pomimo to fartuszek był jeszcze pełny.

— Tyle kwiatów narwałaś — odezwał się — one powiędną, a szkoda ich!

— I mnie ich żal, lecz cóż ja na to poradzę. Musimy przecież zarabiać na chleb,

— To ty sprzedajesz kwiatki? — zapytał Guccio.

— Naturalnie. Ja jestem ogrodniczką. — Sieję i sadzę, pielę i podlewam nasze rośliny. Gdy nadejdzie ciepła pora, wtedy kwiaty i jarzyny sprzedaję na targu. Każdy chętnie odemnie kupuje, bo mam ładny towar — mówiła z pewną dumą.

— Ja myślałem, że rodzice dają wam wszystko, czego wam potrzeba.

— Ojciec nasz dawno już nie żyje, a mama umarła przed dwoma laty — rzekła Zuzia. — Mieszkamy teraz przy naszej babce, ona już jest bardzo stara i nie wiele może pracować. My jej pomagamy w czem tylko możemy.

Gucio ze zdziwieniem patrzył na dziewczynki, które już tak pracowały na siebie i na babkę zarabiać musiały. Jego ojciec był bogaty i spełniał prawie każde życzenie jedynaka. Dziewczynki tymczasem mówiły dalej.

— To płótno rozciągnięte na łące babka uprzedła podczas zimy, my jej też pomagałyśmy, potem zaniosłyśmy przędzę do tkacza, a teraz ją bielimy. To płótno sprzedamy. Gdyby tylko chcieli płacić za nie więcej! — westchnęła Zuzia. — Tak się targują; nie pomyślą, ile ono pracy kosztuje.

— Ale ja tu rozmawiam, a tymczasem płótno wyschło na słońcu — rzekła Mania. — Za naszym domem stoi duży orzech i w jego cieniu układam zwykle bukiety, które ogrodniczek znosi do miasta.

— A czy ja mógłbym z tobą pojechać do waszego ogródka? — spytał Guccio.

— Dobrze, jeżeli chcesz, to cię zaraz zawieziemy — wołały siostry.

— Trzeba tylko powiedzieć o tem Klimowej — rzekł chłopczyk.

Klimowa sama podeszła do dzieci; ucieszył ją

dobry humor wychowanka. Podobały się jej też obie dziewczynki, tak czysto choć skromnie odziane, uprzejme i wesołe. Pozwoliła zawieźć Guccia do ogrodu, a sama poszła do domu, oznajmić pani, gdzie się chłopczyk znajduje.

Dziewczynki potoczyły fotel do swego ogrodu. Słyszając śmiech i wesołe głosy wnuczek, babka wyszła z domu; te zaraz opowiedziały jej, że ich gość nazywa się Guccio i przyjechał z miasta dla kuracji. Babka uśmiechnęła się do chłopczyka.

Była to już bardzo stara kobieta, z białymi jak mleko włosami, lata pochyliły ku ziemi jej postać i zmarszczkami pokryły jej twarz, tehnącą dobrocią i słodyczą. Nie mogąc iść o własnej sile, podpierała się kijem, ręce jednak i umysł miała zdrowe i za tę łaskę codziennie dziękowała Bogu.

— Chciałbym zobaczyć ten orzech — rzekł Guccio, gdy skończyły się przywitania.

— W takim razie musimy przejść przez dom — rzekła Mania.

Z trudem przeciągnięto przez próg fotel chłopczyka i szczęśliwie dowieziono do drzewa. Guccio nigdy jeszcze nie widział tak małego domu; przez okno dojrzał dwa pokoje, w jednym z nich stały dwa łóżeczka; był to widocznie pokój sióstr, drugi zapewne zajmowała babka; oprócz tego była tam sionka i kuchenka.

Tuż koło domu stało wspaniałe, orzechowe drzewo, a koło niego był stół i dwie ławeczki. Na stole leżały wiązki rzodkiewek przygotowane do miasta.

— Może i ja potrafię układać wiązki rzodkiewek? — zawołał Gucio.

Siostry chętnie przyjęły pomoc gościa. Przyniesiono fotel do stołu, a chłopczyk układał w pęczki po dziesięć rzodkiewek, które Mania związywała łyżkiem.

Po chwili Zuzia przyniosła kubek mleka i kilkanaście poziomek na dużym liściu.

— Pierwsze poziomki, — wyrzekła — a to mleko od naszej kozy.

— Kozy? — powtórzył Gucio. — Nigdy jeszcze nie piłem koziego mleka. Pokażcie mi tę kózkę.

— Rozumie się, że ją zobaczysz, — mówiła Mania — zobaczysz także nasze kury, kureczęta; a jakiego mamy wspaniałego koguta!

— Jak tu u was przyjemnie, jak wesoło! — mówił gość uradowany.

Kozie mleko bardzo mu teraz smakowało. W domu kaprysił często przy jedzeniu; trzeba było prosić go usilnie, aby zjadł parę jajek, lub wypił szklankę krowiego mleka. Mama i Klimowa miały z nim wiele kłopotu.

Mania tymczasem ułożyła już kwiaty w śliczne wiązanki, Zuzia miała wycięte dwie kopy szparagów

i zebrała talerz poziomek; wszystko to trzeba było zawieźć do miasta na sprzedaż.

Gdy tak wszyscy byli zajęci, nadeszła mama Gucia wraz z niańką. Jakże się ucieszyła, widząc wesołość chłopczyka.

— Przepraszam panią, — mówiła do babci — za mego synka. Serdecznie dziękuję pani i paniąkom za takie gościnne przyjęcie.

Bardzo rada była z nowej znajomości. Chłopczyk bawił się wybornie i był ożywiony.

— Mamo! — mówił — te dziewczynki mają śliczne kureczęta i kozę, może je mama zobaczy?

Zuzia przypędziła kureczęta do ogródka; wszystkie były śliczne, białe i czarne, nakrapiane i złotawe, wszystkie ćwierkały, trzepotały skrzydełkami, okrąglemi czarnymi oczkami przyglądając się Guciovi, jak gdyby pytały:

— Co to za gość nieznany?

Przyprowadzono też kozę; jadła trawę z ręki Zuzi i beczala, widocznie na przywitanie, wreszcie polizała rękę Gucia.

— Mamo, jabym częściej pił kozie mleko, — mówił chłopczyk — choćby codziennie, a nawet dwa razy dziennie.

— Jeżeli pani pozwoli, to chętnie korzystałabym z tego apetytu Gucia na mleko.

— I owszem — rzekła babcia, — kozie mleko jest zdrowe.

Mama umówiła się z babką, że od jutra, rano i wieczorem jej synek pijać będzie kozie mleko, a także, iż na drugie śniadanie dostanie trzy świeżutkie jajka, po które mama przysyłać będzie.

Nadeszła już pora obiadu, więc Gucio musiał z wielkim żalem opuścić domek swych przyjaciółek.

— Ale pani pozwoli, — rzekł — że ja wieczorem przyjadę tu znowu.

— Przyjedź, przyjedź kochanie — mówiła babcia.

Po powrocie do domu, Gucio cały dzień mówił i śmiał się, aż Klimowej lży radości w oczach świeciły. Nadzieja wstąpiła w serce mamy, że przecież jedynak jej wyzdrowieje. Zjadł obiad ze smakiem, a potem usnął spokojnie.

Mama Gucia dowiedziała się od miejscowych ludzi wiele dobrego o nowych znajomych. Była to biedna, bardzo ucziwa i pracowita rodzina. Ojciec dziewczynek był zdolnym ogrodnikiem i dobrze im się wtedy działo; lecz po jego śmierci został rodzinie tylko ten domek i ogród. Sprzedaż owoców, jarzyn, kwiatów i płótna, pozwalałaby im żyć skromnie lecz spokojnie, gdyby nie dług, który babka musiała zaciągnąć podczas długiej i ciężkiej choroby córki, matki Zuzi i Mani. Dług ten nie był jeszcze splacony;

biedna kobieta żyła w ciągłej trwodze, aby im nie sprzedano domku z ogrodem, dla odebrania pożyczonych pieniędzy. Cóżby się wtedy z nimi stało?... Babka musiałaby pójść do przytułku dla biednych, a wnuczki w służbę do ludzi.

Tymczasem pracowały usilnie, mając w Bogu nadzieję, że ich nie opuści.

Gucio, po obudzeniu, natychmiast zapytał:

— Mamo, czy nie nadeszła jeszcze pora odwiedzenia domku? Chciałbym dowiedzieć się, ile też pieniędzy dostała Zuzia za swoje kwiatki i za jarzyny. Burek pewno towarzyszył jej do miasta. Niech mama każe mnie zawieźć do dziewczynek!

Nareszcie po całej godzinie oczekiwania, Klimowa zawiozła Gucia do domku.

Wkrótce powróciła Mania z ogrodnikiem zmęczona i zakurzona, lecz z targu bardzo kontenta.

— Wszystko sprzedałam! — mówiła.

Wiadomość ta bardzo ucieszyła Gucia.

— Zuziu! Maniu! pozwólcie mi pomagać wam w układaniu wiązek szparagów i rzodkiewek.

— I owszem, układaj, to wszystko pójdzie prędzej.

Odtąd wyzdrowienie chłopczyka bardzo szybko postępowało, a gdy przyjechał ojciec Gucia, nie poznał prawie swego syna. Mama i Klimowa opowiedziały mu szczegółowo, kto wpłynął na wyzdrowienie

jedynaka, a chociaż tatuś, mając wiele zajęcia w mieście, musiał wyjechać nazajutrz, chciał się jeszcze udać do babki, aby jej podziękować za cudowne uzdrowienie chłopczyka.

— Ja tatusia zaprowadzę — rzekł Gucio, i z tryumfującą miną wprowadził ojca do ogrodu.

— Babciu, Zuziu, Maniu! — wołał — patrzcie, kto tu do was przyjechał?... Mój tatuś!

Po przywitaniu, Gucio sam pokazywał tatusiowi wszystkie osobliwości, jako to: mądrą kozę, którą sam karmił i kury czubate i ogródek, a w nim śliczne truskawki. Zdawałoby się, że to wszystko do niego należy, tak się tem pysznił i cieszył. Tatuś dziękował babce i wnuczkom, ale otrzymał odpowiedź:

— Niema, panie, w tem wcale naszej zasługi, żona pańska tak dobrze płaci mi za mleko, jaja i owoce; to my raczej wdzięczne jesteśmy za pomoc, a jeżeli Gucio tutaj wyzdrowiał, to bardzo się cieszymy.

Gucio do późnej jesieni pozostał w domku pod lasem, mógł więc pomagać swym przyjaciółkom przy zbiorze jabłek i gruszek, przy zbieraniu nasion i kwiatów.

Trzeba jednak było wrócić do miasta. Gucio z płaczem żegnał swoje przyjaciółki. Zuzia i Mania miały też łzy w oczach.

— Zobaczmy się na wiosnę! — wołał Gucio.

— Napisz do nas! — prosiła Zuzia.

Gdy już mama z Klimową i Guciem siedziały w powozie, który miał ich zawieźć do kolei, Mania wsunęła niańce w rękę koszyczek napelniony wybor-nemi gruszkami, a Zuzia wręczyła Guciovi bukiet z astrów, ostatnich kwiatów jesieni.

Gdy powóz ruszył, Gucio długo jeszcze powiewał chustką w stronę domku.

Podczas zimy napisał kilka listów do dziewczynek. Właściwie listy Gucia pisała mama ołówkiem, a on po tych literach wodził piórem, lecz już w marcu potrafił sam list napisać. Mama kilka razy wysłała paczkę z ciepłym ubraniem dla babki i wnuczek, a na Boże Narodzenie przysłała im dużo bakalji, pierników i kilka książek.

Gdy nadeszła ciepła pora, mama znowu pojechała z Guciem do domku pod lasem. Ponieważ późno wieczorem przyjechali, więc chłopczyk musiał do następnego dnia odłożyć odwiedziny domku babci.

Mama zapytała gospodyni, co się dzieje ze staruszką i jej wnuczkami, gdyż już dość dawno nie miała od nich żadnej wiadomości.

Niestety! smutnych dowiedziała się nowin.

Wierzyciel umarł, a jego syn, aby odebrać pieniądze, chce sprzedać domek z ogródkiem.

Gucio rozplakał się serdecznie. Mama obiecała mu, że nazajutrz raniuteńko pójdzie do biednych kobiet. Lecz nazajutrz miała tak silny ból głowy,

iż wstać z łóżka nie mogła, Klimowa znów musiała rozpakowywać rzeczy, tak, że dopiero po obiedzie mogła pójść z Guciem.

Ale chłopczyka ogarnęła niecierpliwość. Dla czego nie miałby pójść sam do babki?... Drogę znał doskonale, może tam zajść za kilka minut, jeżeli nie pójdzie przez mostek, lecz wprost po kamieniach przez strumień, który płynął między ich domem a siedzibą babki.

Gdy Gucio zobaczył, że Klimowa zajęta rozkładaniem rzeczy, wcale na niego nie uważa, wysunął się z domu i wybiegł na znaną ścieżkę, prowadzącą na łąkę. Serce mu biło gwałtownie, wiedział, że matka nie pozwoliłaby mu wyjść samemu, szedł jednak dalej.

Już jest na łące, już widzi kochany domek, ozłocony słońcem. Na trawie znów leży płótno, zdaje mu się nawet, że Burek stoi przede drzwiami.

Staął na chwilkę. Może lepiej będzie przejść przez most?...

— Ach! — wykrzyknął, gdy zobaczył, że na tem miejscu, gdzie po kamykach można było przejść przez strumień, leży kładka — wprawdzie wążka, lecz on po niej przejdzie.

Spojrzał na domek i dojrzał Zuzię, wychodzącą z dzbankiem w ręku.

— Zuziu! — zawołał.

Jednocześnie stąpnął na kładkę, lecz tak nie szczęśliwie, że ześliznął się z niej i wpadł do strumienia.

Zuzia dojrzała to i z okrzykiem zgrozy pobiegła co sił ku brzegowi. Chłopczyka woda już zaczęła unosić, gdyż deszczami wiosennymi wezbrany strumień wartko płynął. Dziewczynka skoczyła do wody, pochwyciła Gucia za kołnierz, lecz i ją woda uniosła.

Zaczęła rozpaczliwie wołać ratunku. Burek odpowiedział jej głośnem szczekaniem i wyciem, co znów zdziwiło Manię; wyszła więc z domu zobaczyć, co się dzieje.

— O, Boże! Ależ to Zuzia wzywa pomocy!

Zuziu! Zuziu! gdzie jesteś? — wołała Mania pełna trwogi.

Pobiegła nad strumień i stanęła osłupiała, widząc siostrę i Gucia szamoczących się z pędem wody.

O kilka kroków od strumienia spostrzegła jakiś duży kij, porwała go i podała siostrze; lecz Zuzia nie mogła go pochwycić, kij był za krótki. Mania wskoczyła w wodę, jedną ręką wpiła się w brzeg strumienia, drugą uzbrojoną kijem, wyciągnęła ku Zuzi. Dziewczynka pochwyciła go nareszcie i z niesłychanym trudem zdołała przyciągnąć siebie i Gucia do brzegu. Chłopczyk zemdlał, a Zuzia była tak

wyczerpana, że padła na trawę bez tchu, blada, jak to płótno przez nią bielone.

Mania zaczęła silnie rozcierać Gucia; tymczasem nadeszła babka i razem z wnuczką zaniósła chłopczyka do siebie, rozebrała go czempredzej i położyła do łóżka.

Jednocześnie przysła Zuzia zmoczona. Mania pomogła jej rozebrać się i włożyć suche ubranie.

Gucio wkrótce otworzył oczy; babka o nic go nie pytała, kazała mu tylko leżeć spokojnie pod kołdrą i wypić szklanekę gorącego mleka.

Obydwie z wysiłku i z przerażenia słowa wypowiedzieć nie mogły. Po chwili Mania uczuła ostry ból w rękę, spojrzała na nią: całą rękę miała pokaleczoną; nie wiedziała gdzie i kiedy to się stało. Po namyśle dopiero zmiarkowała, że zapewne poraniły ją tak krzewy i kamyki nadbrzeżne, gdy chwyciła się brzegu, by podać kij tonącym. Bolały ją rany, lecz cóż to znaczy, gdy Zuzia i Guccio wyratowani!

Zdrową rękę delikatnie podłożyła pod głowę leżącej siostry i ucałowała ją.

Gdy Zuzia przebrana już i trochę uspokojona usiadła przy babce, wtedy wszystko jej opowiedziała. Biedna staruszka wzniosła oczy ku Niebu, gorącą modlitwą dziękując Bogu za ocalenie wnuczki.

— Trzeba dać znać mamie Gucia, — wyrzekła po chwili — ona tam pewno niepokoi się o syna.

Lecz w tejże chwili weszła do domku Klimowa. Nie widząc nigdzie wychowanka, domyśliła się, że pobiegł do domu staruszki.

Łatwo pojąć, jak ją przestraszyło opowiadanie babki.

— Gdyby nie pomoc Mani, Zuzia z Guciem mogli łatwo utonąć — mówiła Klimowa, — tembardziej, że woda uniosłaby ich w stronę młyna, który szumiął o kilkaset kroków dalej i dzień i noc hucał. — Co mama na to powie? Dzisiaj taka chora, niech się dzisiaj o tem nie dowie.

Gucio tymczasem zasnął, co uspokoiło babkę, która już chciała posłać do miasta po doktora.

Klimowa poszła po świeże ubranie. Wkrótce wróciła, ubrała przebudzonego chłopczyka i poszła z nim do domu.

Mama już wstała. Zdziwiła ją przecież bladość jedynaka.

— Co tobie, Guciu? Zmęczyła cię widać droga. Może cię głowa boli?

— Boli trochę — odparł chłopczyk, — nizko schylając główkę.

Klimowa miała tak wystraszoną i smutną minę, że mama sądziła, iż ją zmartwiło nieszczęście staruszki.

— Moja Klimowa, — rzekła — postaram się za-

jąc się losem tej biednej rodziny. Cóż u nich sły-
chać?... Jak się mają dziewczynki?

Gucio wybuchnął płaczem, a potem rozplakała
się niańka.

— Co to znaczy? — pytała mama. — Czy tam
kto chory?

Klimowa nie mogła już dłużej ukrywać prawdy.

Opowiedziała pani o nieposłuszeństwie Gucia
i o nieszczęściu, jakie stąd wyniknąć mogło.

Mama przestraszyła się okropnie, wzięła chłop-
ca na kolana i ściskając go czule, rzekła:

— Widzisz, jakie straszne skutki może pociąg-
nąć za sobą nieposłuszeństwo; tylko Zuzi i Mani za-
wdzięczasz twoje życie! Natychmiast pójdę do nich
i zepewnię, że za kilka dni tatuś zapłaci dług, który
zaciągnęły; w ten sposób wywdzięczymy się choć
w drobnej części za zachowanie nam ciebie przy
życiu, drogi chłopcze. Tymczasem podziękuję dziew-
czynkom za wyratowanie ciebie z wody, a babce za
troskliwość, jaką cię otoczyła.

— Niech mama się dowie, jak się mają Zuzia
i Mania, bo obie się przemoczyły w wodzie i porani-
ły, może są chore?

Mama poszła zaraz, a spotkawszy babcię przed
domkiem, zapytała o dziewczynki.

— Chwała Bogu są zdrowe — odrzekła bab-
cia, — tylko trochę przestraszone.

— Jakże ja się odwdzięczę kochanej pani, za
tę jej dobroć, a dziewczynkom za wyratowanie me-
go jedynaka — mówiła mama Gucia. — Byłby uo-
nął, gdyby nie pomoc Zuzi i przytomność Mani. —
Niechże je przynajmniej serdecznie za to ucałuję.
Za parę dni mąż mój przyjedzie, jakże on pani bę-
dzie wdzięczny!

Istotnie za parę dni tatuś przyjechał, a dowie-
dziawszy się o wypadku i szczęśliwym uratowaniu
Gucia, wrócił do miasta i przywiózł potrzebne pie-
niądze na zapłacenie długu. Ściskając zaś ręce babki,
rzekł:

— W ubiegłym roku wróciliście zdrowie Gu-
ciowi, a teraz uratowałyście mu życie. Nigdy wy-
wdzięczyć się wam nie potrafię.

Odtąd obie rodziny żyły z sobą w wielkiej przy-
jaźni, spokój znowu zawitał do domku staruszki,
a wesołość i żywość wnuczek rozweselały jej starość.

Rodzice Gucia pomagali im ciągle i zajęli się
nauką dziewczynek. Zuzia nauczyła się pszczelnic-
wa, a Mania wydoskonaliła w ogrodnictwie. Gucio
zaś pozostał zawsze ich przyjacielem.



UKRYTA WINA.

(z obrazkiem).

Janek i Helenka odrabiali zadania szkolne. Janek pracował pilnie, bo kto jest pierwszym w klasie, ten musi dokładać starań, aby go koledzy z jego własnej winy nie wyprzedzili. Helenka zaś przy pracy wdychała często, żałując, że nauka nie wchodzi sama do głowy, że trzeba się do niej przykładać.

Od czasu do czasu dziewczynka zrywała się z krzeselka i biegła do okna, nie mogła jednak dojrzeć nic ciekawego, gdyż okna wychodziły na podwórze, na którym w dzień zimowy było cicho.

Naprzeciwnko, w dużej piętrowej oficynie mieszkała także mała dziewczynka lat dziesięciu lub jedenastu, lecz ta nie miała ani pięknych ubrań, ani kosztownego futerka, jak Helenka, chodziła do szkoły w wytartej sukience, w lekkim paltociku; kajety



i książki nosiła w ceratowej terebce, którą pewnie sama uszyła. Helenka patrząc na nią, myślała, że wstydziłaby się wyjść na ulicę w tak lichem ubraniu.

Dziewczynka miała też rodzeństwo; Helenka widziała ją noszącą na ręku małe dziecko; koło niej zaś w okienku na poddaszu wyglądało nieraz kilka jasnych główek dziecięcych.

Lecz dzisiaj mróz pokrył szyby lodem, tworząc na nich piękne kwiaty; można wprawdzie było kawałek miejsca na szybie rozpuścić za pomocą rozgrzanej w ręku dziesiątki miedzianej i przez takie kółko przyjrzeć się niebu i ulicy, ale tam tego nie robiono. W mieszkaniu zaś Helenki, w którym zawsze było ciepło, szyby nie zamarzały.

— Ta dziewczynka z poddasza nie uczy się pewno języka niemieckiego, ani muzyki!... więc i w jej położeniu można mieć różne przyjemności — tak przynajmniej myślała Helenka.

— Helenko! — odezwał się Janek — znowu stoisz przy oknie?... Umiesz już słówka?... Mogę cię przesłuchać.

— Jeszcze się nie nauczyłam — odrzekła Helenka głosem rozdrażnionym. — Takie trudne!...

Janek rozśmiał się.

— Bo nie myślisz o tem, czego się uczysz. Ciekawa rzecz, kiedy ty dzisiaj nauczysz się lekcji?

Patrz, ja już skończyłem tłumaczenie, a jak mi się udało!... Nie potrzebowałem przekreślać ani jednego wyrazu. Ale jeszcze raz je odczytam.

W tejże chwili wywołano Janka: jego kolega Józio przyszedł i prosił, ażeby Janek wyszedł do przedpokoju.

Janek wybiegł.

— Jak się masz, Józiu, chodź do pokoju i powiedz, czem ci służyć mogę?

— Przepraszam cię, Janku, że ci przeszkadzam; chciałem cię tylko zapytać, czy mamy na jutro trzy regułki do tłumaczenia, czy dwie, bo nie dośłyszałem, co profesor mówił.

— Mamy tylko dwie regułki, ale zostań Józiu, pobawimy się trochę.

— Nie, Janku, teraz nie mogę, muszę wracać, korepetytor pewno już czeka na mnie, dziękuję ci za objaśnienie. W rekreację przyjdę do ciebie, a teraz do widzenia!

Podczas nieobecności Janka w pokoju, wydarzyło się nieszczęście. Helenka zaczęła przeglądać tłumaczenie Janka i tak nieuważnie posunęła ręką, że zamazała rękawem ostatnie linie tłumaczenia, jeszcze mokre.

Przestraszyła się i zmartwiła.

— Co też Janek powie! Będzie musiał przepisywać na nowo swoją pracę!

Cichuteńko usiadła przy swoim stoliku i wzięła się do odrabiania zadań, oczekując nadejścia brata i jego wymówek.

Ale wymówek nie było. Gdy Janek wrócił do pokoju i spojrział na kajet, krzyknął zniecierpliwiony:

— Ładnie się urządziłem, niema co mówić! Musiałem ręką posunąć bibułę po mokrych literach, no! i pisz teraz na nowo całe tłumaczenie!

Helenka nie odrywała oczu od książki.

— Mogłabyś spojrzeć przynajmniej na mój kajet,— zawołał Janek — widzę, że cię moje zmartwienie nie obchodzi!

Spojrzała przelotnie na brata.

— Tak jestem zajęta moją robotą — rzekła, czerwieniąc się po same uszy.

Janek gniewał się coraz więcej. Niewinną linję cisnął w kąt, za nią poszła gramatyka łacińska. Do siostry nie odzywał się już wcale.— Niedobra dziewczyna! — myślał sobie.— Chłopiec byłby go pewno pożałował, może posprzeczałby się z nim trochę i możnaby swój gniew na kim wyrzucić, a dziewczyna siedzi cicho.

Po kilku minutach Janek uspokoił się, nawet wydobył rzuconą gramatykę i z głębokim westchnieniem wziął się znowu do pracy.

Tymczasem Helenka czuła się coraz mniej zadowoloną z siebie; w pierwszej chwili ucieszyła ją

omyłka brata, który myślał, że sam szkodę wyrządził, później jednak przemówiło do niej sumienie.

Czemu nie przyznała się odrazu do winy!

Ale to przecież nie naprawiłoby szkody, Janek rozgniewałby się na nią. Ona nie potrafiłaby przepisać za brata zadania, więc po cóż nie pytana, miała się oskarżać?

Już kilka razy zdarzyło się jej coś przemilczeć, i za każdym razem w ten sposób uniewinniła się, chociaż sumienie jej mówiło:

— Nie powiedziałaś prawdy!

— Nie okłamałam go przecież! — pocieszała się w duchu.

Zaczęła teraz tak pilnie się uczyć, że w przeciągu godziny odrobiła wszystkie lekcje; nawet uczenie się słówek poszło łatwo. Nie śmiała jednak prosić Janka, aby ją wysłuchał.

Cichutko wyszła z pokoju; chciała się bawić, lecz zabawa nie szła jej wcale; wzięła do ręki książkę z powiastkami, lecz i tę rzuciła, gdyż trafiła właśnie na wyraz: «kłamstwo.»

Poszła do pokoju mamy.

Mamy w nim nie było, na dywanie leżał mops, na co mu nie pozwalano, bo mu nie wolno było wchodzić do salonu.

— Ach! ty nieznośny psiaku, — zawołała Helenka — znów wysypiasz się na dywanie mamy?

Pies zrozumiał swoją winę, natychmiast podbiegł do Helenki, łasił się do niej i patrzył w oczy czarnymi ślipkami.

Na środku pokoju był stół, pokryty lekką serwetą, a na nim stał wazon z kwiatami.

Mama niezmiernie lubiła kwiaty, i właśnie dzisiaj tatuś przyniósł jej piękny bukiet z róż białych i ponsowych. Helenka zanurzyła noskę w pyszne kwiaty i wahała je z wielką przyjemnością. Mops skakał koło niej, ciągnąc ją za sukienkę i drapiąc ją łapką. Helenka pogłaskała pieska.

— Już nie gniewam się na ciebie, mopsiku, chociaż to bardzo źle, że nie słuchasz mamy, tym sposobem nie masz czystego sumienia.

— Tak jak ty! — zawołał głos tajemny. Ten głos jednak nie przeszkodził jej bawić się z pieskiem, gonić go po pokoju.

Wtem... brzęk tłuczonego szkła przykuł ją do miejsca. Ona sama wraz z mopsikiem, biegając koło stołu, ściągnęła na ziemię serwetę, i piękny wazon spadł rozbity w kawałki!

Helenka przestraszyła się okropnie.

— Jakże zmartwi się mama! — pomyślała.

Mops czując swoją winę, wsunął się pod kanapę.

Po chwili Helenka ocknęła się z przerażenia. Może nikt nie zauważył, że bawiła się w pokoju mamy?... Prędko uciekła do dzieciennego pokoju i zaczęła

ła ubierać swoje lalki, pilnie nasłuchując każdego głosu.

Za chwilę usłyszała, że ktoś otworzył drzwi do pokoju mamy, następnie odezwał się wykrzyk żalu, a potem dzwonek... to mama przywoływała służącą.

— Ach, co za szkoda! — mówiła do pokojowej — ten śliczny wazon stłuczony! Kto to zrobił?

Helenka westchnęła. Serce jej biło gwałtownie. Gdyby kto widział, że bawiła się w pokoju mamy, wtedy każdy powiedziałby, że to ona stłukła wazon.

Lepiej było może przyznać się do winy?... Bała się jednak połajania, zbrakło jej odwagi, a tymczasem pokojówka odezwała się:

— Już to z pewnością sprawka tego mopsa; ściągnął serwetę i wazon spadł na ziemię. Ot, schował się pod kanapę, widocznie to on zrobił; pójdź tu zaraz, ty psie szkaradny!

Wyciągnęła go na środek pokoju i poczęstowała dwoma dobrymi klapsami. Pies zaskowyczał i uciekł do przedpokoju.

Znowu głos sumienia przemówił do Helenki.

— Przyznaj się, przyznaj do winy!

Lecz ona głosu tego nie posłuchała. Mops został wprawdzie ukarany, ale bo też i on był winnym w tej katastrofie.

Po chwili weszła mama do pokoju Helenki.

— Ubierz się, córeczko, — powiedziała — skoro mops stłukł mi ten wazon od tatusia, pójdziemy kupić taki sam, aby tatusia nie zmartwić, że dar jego tak prędko zniszczono.

Helenka nie okazała zdziwienia, lecz bardzo się zmieszala i zaczerwieniła. Sama nie wiedziała, co odpowiedzieć, rzekła jednak ze drżeniem w głosie:

— Dobrze mam, zaraz przyjdę.

W innym razie przechadzka z mamą ucieszyłaby ją niezmiernie, — teraz jednak szła posepna i bardzo z siebie niezadowolona; ciągle jednak myślała o tem, czy mamie powiedzieć, czy nie; lecz chęć ukrycia przemogła i Helenka nie powiedziała.

W oficynie z zamarzniętymi szybami panowały dnia tego zimno i bieda. Mieszkała tam rodzina, której ojciec od paru miesięcy nie miał żadnego zajęcia.

Był on przedtem pisarzem u pewnego obywatela ziemskiego, i z pobieranej pensji utrzymywał żonę i dzieci, nie mógł jednak nic odłożyć na czarną godzinę.

Po śmierci chlebobdawcy stracił miejsce i daremnie starał się o inne. Na nieszczęście zachorowała mu żona i nie mogła przyjść do zdrowia, gdyż brakło jej posilnego pokarmu, który siły powraca, a tu do-

któr kazał nawet pić wino! Bieda doszła do tego, że nieraz cała rodzina o głodzie spać się kładła.

Ażeby kupić pożywienia, trzeba było zastawić wiele rzeczy. Ze łzami w oczach wynosił ojciec z domu zegarek kieszonkowy, obrączkę ślubną, futro żony, wreszcie jej złotą broszkę i kolczyki, które dostała w dzień ślubu od matki chrestnej; myślał, że może uda mu się kiedy zebrać tyle pieniędzy, by te rzeczy wykupić z zastawu.

Najstarsza dziewczynka, Amelcia, umiała odczuć zmartwienie rodziców. Miała lat jedenaście, lecz ciężkie życie nauczyło ją myśleć poważnie; ona pielęgnowała chorą matkę, ona dbała, aby młodsze rodzeństwo było pomyte i możliwie czysto ubrane, ona zastępowała matkę w gospodarstwie, starając się także zarobić choć kilka groszy. Jeden litościwy piekarz dawał jej bułki do roznoszenia po domach, za co miesięcznie dostawała pół rubla.

Ciężko było ojcu budzić ukochaną córeczkę o piątej rano, gdy jeszcze noc panowała na świecie, a zimno do szpiku kości przenikało. Lecz o szóstej trzeba było roznieść bułki, i błada, mizerna dziewczynka musiała o tej porze przebiegać ulicę z ciężkim koszem w rączynach. Pieczywo, które niosła, było świeże, rumiane, tak pachniało... a ona bywała nieraz bardzo głodna... Lecz nie dla niej były te doskonałe bułeczki, białe chlebki, rogałe i obwarzanki!

Po powrocie do domu piła szklanekę kawy, chociaż była to właściwie cykorja z odrobiną kawy zmieszana, i zjadała kawałek czarnego chleba; były jednak dni w których i tego posiłku brakowało.

Gdy nastały mrozy, piec pochłaniał pieniądze, a pomimo to zimno było w mieszkanku. Trójka młodszych dzieci kupiła się koło tego pieca, grzejąc przy nim skostniałe palce i pytając od czasu do czasu:

— Czy my jeść nie dostaniemy?... Takie jesteśmy głodne!

— Żebyśmy też mieszkali w lesie — westchnął mały Staś.

— Na cóż ci las? — spytała Wandzia.

— Nabierałbym szyszek, gałęzi i rozpalił wielki ogień; gdy jest ciepło, to głód mniej dokucza.

Amelcia spojrzała na ojca, który siedział z twarzą ukrytą w dłoniach.

Była to niedziela. W domu nie było nic na obiad, gdyż za ostatnią dziesiątkę kupiono węgla i rozpalono ogień; ale przy nim nie było co ugotować. Amelcia cichutko wyszła z domu; może zdoła wyprosić u piekarza bułkę chleba...

Nieśmiało weszła do sklepu. Piekarka z uprzejmym uśmiechem obsługiwała gości. Stosy rumianych złotawych chlebów i bułek piętrzyły się na półkach i w koszach, a zapach świeżego pieczywa rozchodził się ze sklepu na ulicę. Uplynał prawie kwa-

drans, zanim nadeszła kolej Amelci; wreszcie ona jedna została w sklepie, a piekarka spytała:

— Czego chcesz mała, i czego tak dawno tu stoisz?

— Chciałabym panią prosić o bochenek chleba, choćby czerstwego — szepnęła.

— U nas nie ma czerstwego chleba! a czy masz pieniądze?

Gorący rumieniec pokrył bladą twarzyczkę Amelci.

— Może pani zechce wytrącić mi z pensji za ten bochenek chleba, ale w przyszłym miesiącu — odpowiedziała lekliwie.

— Teraz nie mogę dać ci chleba. Dałam ci już sześć bochenków, a do końca miesiąca brakuje jeszcze dziesięć dni. Przyjdź wieczorem. Jeśli zostanie mi bochenek, to go sobie weźmiesz.

Znękana, ze łzami w oczach, wróciła Amelka do domu.

— Pewno przynosisz nam co do jedzenia? — odezwały się dzieci.

Potrząsnęła głową przecząco. Matka zapłakała.

— Czy cię co boli, mateczko? — spytała Amelka.

— Zniosłabym każdy ból, moje dziecko, bylebyście głodne nie były — odparła matka ze łkaniem.

Wtedy ojciec wstał i wyszedł z domu.

Niedługo wrócił i położył dwie czterdziestówki na stole.

— Tatuś przyniósł pieniądze! — wołały dzieci — już nie będziemy głodne.

— Co ty jeszcze mogłeś sprzedać lub zastawić? — spytała matka; — jesteśmy tak biedni, że już chyba nie do sprzedania nie mamy.

— Zastawiłem kamizelkę — szepnął.

— Ach, Boże! Masz taki cienki surdut, zmarniesz bez cieplej kamizelki.

— Cóż miałem zrobić? — zapytał. — Nie mogę przecież patrzeć na głodne dzieci.

— A co dalej będzie?

— Czy ja wiem? Gospodarz może wyrzuci nas z mieszkania, bo skądże wziąć pieniędzy na komorne? Dzisiaj przynajmniej nie będziemy głodni. Amelciu, idź kup kartofli, mąki, szmalcu i trochę kaszy i mleka dla matki.

— Prędko, prędko Amelciu! — wołały dzieci — my ci garnki przygotujemy, przyniesz tylko prędko co do jedzenia.

Dziewczynka wzięła pieniądze i wybiegła na ulicę. Tu zobaczyła dorożkę, do której wsiadała młoda pani z córeczką otuloną w futerko, w futrzanej czapeczce na głowie.

Gdy powóz ruszył, Amelka poszła dalej.

Szła w stronę znajomego sklepiku, gdzie wszyst-

kie sprawunki załatwić mogła. Ręce skostniały jej od zimna.

W sklepiku wzięła chleba, dużą torbę kartofli, mąki, ćwierć funta szmalcu. Otworzyła rękę, chcąc położyć pieniądze i krzyknęła z przestachu. W ręce nie było czterdziestówek. Zaczęła ich szukać po podłodze, w kieszeni, zajrzała nawet za chustkę, za stanik, za który chowała zmarznięte ręce, pieniędzy nie było.

Wyleciały jej widocznie ze zmarzniętej ręki. Zapłakała.

— Proszę pani, zgubiłam pieniądze; nie mogę nic kupić. Boże, co ja teraz pocznę?

Sklepikarce żal było dziewczynki, lecz była to także biedna kobieta, nie mogła pomóc Amelci; poradziła jej tylko, by poszukała pieniędzy na ulicy, idąc tą samą drogą, którą przyszła.

Dziewczynka wyszła szukając swej zguby; pytała o nią przechodniów, ale ci w odpowiedzi wzruszali ramionami. Szła ciągle, a ostry wiatr tamował jej dech; nie zważała jednak na to, przejęta myślą o swem nieszczęściu. Jakże wróci do domu, cóż powie rodzicom; jakże zniesie płacz rodzeństwa?... Woli już umrzeć z zimna!

Lecz nie — samobójstwo jest przecież grzechem, ona zaś musiała spełniać swoje obowiązki, musiała wrócić do domu.

Wielki sklep z porcelaną zwrócił jej uwagę. Przed sklepem stała dorożka, ta sama, którą widziała wychodząc z domu.

To młoda pani z przeciwka z dziewczynką w futerku, wybierała w sklepie wazon. Amelka słyszała, że ta pani była żoną zamożnego fabrykanta. Gdyby ją poprosić o jałmużnę? Cóż mogły znaczyć dwie czterdziestówki dla tak bogatej pani? Ona pewno ulitowałaby się nad ich nędzą. Zbliżyła się do sklepu.

Gdy jednak pani wyszła ze sklepu, wstyd zamknął usta Amelce. Co powiedzieliby rodzice, gdyby się dowiedzieli, że wyciągnęła rękę po jałmużnę?

Tymczasem pani wsiadła do dorożki wraz z córeczką i odjechała, a biedna dziewczynka stała jeszcze nieruchoma przed sklepem.

Rozpaczliwym wzrokiem spojrzała dokoła i zobaczyła coś ciemnego, leżącego na śniegu. Schyliła się i podniosła portmonetkę, którą widocznie upuściła bogata pani. Powóz był już daleko, i zguby nie można było natychmiast oddać. Amelka weszła do bramy, otworzyła portmonetkę; błyszczały w niej złote i srebrne pieniądze.

Widok czterdziestówek zbyt kusił Amelkę.

Wahała się, ściskając portmonetkę w rękę, wreszcie przemogła pamięć nędzy domowej i Amelka pobiegła w stronę sklepiku.

— Znalazłaś pieniądze — zawołała sklepikarka. — Co za szczęście! Pewno w śniegu leżały?

Amelka kiwnęła tylko głową; słowo «tak» nie chciało jej przejść przez usta. Szybko pochwyciła sprawunki i pobiegła z nimi do domu, gdzie czekano na nią z niecierpliwością; Staś i Wandzia stali nawet na schodach i przywitali ją wesołym okrzykiem.

Woda gotowała się już w garnku, Amelka napełniła drugi mlekiem i przystawiła do ognia, gdyż w jednym miała ugotować kaszkę dla matki, w drugim kartofle dla siebie i rodzeństwa. Ojciec rozdzielił bochenek na części, zostawiając sobie najmniejszą; na widok zajadających dzieci, uśmiech rozjaśnił mu bladą twarz.

Tylko Amelka chleb odsunęła.

— Nie jesz? — spytał ojciec. — Dla czego?

— Nie jestem głodna, tatusiu.

— Za to kartofle smakować ci będą — zawołał Staś.

— Znalazłam tę portmonetkę — odezwała się Amelka po chwili.

Mówiąc to, podała ją ojcu.

— Trzeba to jak najprędzej odnieść do biura policji — odezwał się ojciec.

— Ja wiem do kogo należy ta portmonetka —

odparła Amelka, i opowiedziała w jaki sposób znalazła zgubę.

Matka uniosła się na łóżku i zaczęła liczyć pieniądze zawarte w portmonetce, a dzieci z gorącymi kartoflami w ręku patrzyły wielkimi oczami na te skarby.

— Odnieście zaraz te pieniądze — rzekł ojciec do Amelki.

— To my nie możemy zatrzymać tych pieniędzy? — dziwił się Staś. — Kupilibyśmy sobie dużo węgla, drzewa, kartofli, nawet kielbasy!

— Kielbasa — to takie dobre! — westchnęła Wandzia.

— Chcielibyście być złodziejami? — zapytał ojciec surowo. — Te pieniądze nie należą do nas, lecz do tej pani, która je zgubiła. Kto nie chce oddać tego, co znalazł, ten jest złodziejem.

Każde słowo ojca raniło boleśnie Amelkę. Drżała tak, że musiała oprzeć się o poręcz łóżka matki; lecz nikt tego nie spostrzegł.

— Gdy zjesz, — rzekł ojciec — odniesiesz tej pani. Gdzie ona mieszka?

— W tym samym domu od frontu.

— Może ta pani da Amelce trochę pieniędzy? — mówił Staś.

— Ach, żeby dała! — zawołały młodsze dzieci.

— Pójdę zaraz! — szepnęła dziewczynka.

Przyglądziła włosy i wyszła z domu. Ojciec przykazał jej, aby portmonetkę wręczyła samej pani.

Amelka wolno wstępowała na schody, wiodące do mieszkania rodziców Helenki. Na pierwszym piętrze stała długo oparta o ścianę, zanim nareszcie pociągnęła za dzwonek.

Matka Helenki siedziała w salonie i układała kwiaty w nowo nabytym wazonie. Helenka pomagała matce.

— No! już szkoda naprawiona,— mówiła pani domu — ale ten mops zrobił mi prawdziwą przykrość.

Helenka milczała. Jak się wszystko dobrze złożyło! Winy jej nikt się nie domyśla, tatuś nawet o niczem wiedzieć nie będzie. Lecz niespokojne sumienie wciąż wołało: «Ojciec na wszystkich pracuje, ma wiele zajęcia i kłopotów; mama nie powie mu o stłuczonym wazonie, by mu oszczędzić przykrości; lecz ty nie dla oszczędzenia komuś zmartwienia zataiłaś swoją winę, ty prawie skłamałaś!

Wstrząsnęła główką i zaczęła głośno i prędko rozmawiać z mamą, jak gdyby chciała zagłuszyć głos sumienia.

Wtem weszła pokojówka z oznajmieniem, że jakaś dziewczynka pragnie widzieć się z panią.

— Pewno przyszła po prośbie! — zauważyła Helenka.

Pokojówka poruszyła głową przecząco.

— Wątpię, ona tu mieszka naprzeciwno, w oficynie na poddaszu, rodzice jej są bardzo biedni, lecz wiem, że nigdy jeszcze nie żebrali.

— Przyrowadź ją tutaj.

Amelka weszła i ukloniła się.

— Czego chcesz, dziewczynko?... Co cię tu do nas sprowadza?...

— Proszę pani — rzekła z drżeniem w głosie Amelka — gdy pani siadała do dorożki przed sklepem, upuściła pani portmonetkę;... ja ją znalazłam, właśnie przynoszę.

— Mówiąc to, położyła portmonetkę.

Matka Helenki sięgnęła do kieszeni. Teraz dopiero zauważyła, że zgubiła woreczek z pieniędzmi. Młoda pani ze współczuciem spoglądała na bladą twarzyczkę dziewczynki.

— Dziękuję ci, moje dziecko, a kto ty jesteś? Czy masz rodziców i kto jest twój ojciec?

— Mam i tatusia i mamę, ale matka jest chora; ojciec był pisarzem, lecz teraz nie może znaleźć zarobku i już dawno jest bez zajęcia.

— Jesteś dobrą, zacną dziewczynką,— rzekła pani — skoro tak prędko odniosłaś mi pieniądze. Pomówię z moim mężem o twoim ojcu, może znajdzie dla niego jakie zajęcie.

— Ach! gdyby to być mogło! — zawołała Amel-

ka, składając ręce, jak do modlitwy. Ukłoniła się znowu i chciała odejść, ale pani zatrzymała ją.

— Poczekaj, należy ci się znaleźć!

Pani otworzyła portmonetkę, a Amelka splonęła rumieńcem wstydu. Może pani spostrzeże brak czterdziestówek i wypędzi ją z domu, jako złodziejkę?

Ale pani wyjęła z portmonetki rubla i dała go dziewczynce.

— Weź to, — rzekła — i powiedz rodzicom, że postaram się znaleźć dla ojca zajęcie. Niech przyjdzie do nas jutro. A teraz idź do domu; — i przyjaźnie skinęła głową Amelce.

Pokojówka wyprowadziła dziewczynkę na schody i z wielkim zdziwieniem zauważyła, że ta zamiast iść do domu, usiadła na pierwszym stopniu.

— Co ci jest, czy jesteś chora? — zapytała.

— Zmęczyłam się trochę — odpowiedziała.

Po odejściu dziewczynki, Helenka, która z wielkim współczuciem słuchała jej opowiadania, rzekła:

— Ach! mamusiu, jakże mi żal tych biednych ludzi. Nie wiedziałam nawet, że istnieć może taka nędza. Ta biedna dziewczynka pewno nieraz bywa bardzo głodna. O, pomóż im, mamusiu!

— Postaram się o to, moje dziecko, dowiem się jeszcze, co to za ludzie, chociaż wierzę w szczerłość tego dziecka. Z pewnością są to uczciwi ludzie. W ich położeniu znalezienie portmonetki było wielką pokusą.

Uszczęśliwiona Helenka ucałowała mamę, potem zaczęła układać różne plany: ona także chciała pomódz tym dzieciom, które tyle biedy wycierpiały.

Tymczasem Amelka siedziała wciąż na schodach, trzymając w ręku otrzymanego rubla; pieniądz ten przez kilka dni mógł ochronić ich od głodu. A może ta pani da zajęcie jej ojcu i ich nędza skończy się niedługo?... Pomimo tych myśli uspokajających, Amelka nie mogła się cieszyć... bo gdyby ta pani wiedziała o jej postępkach!

Zasłużyła na karę, na pogardę, a tymczasem pani chwaliła ją! Każde słowo pochwały paliło jej duszę.

Wzięła cudze pieniądze, oszukała tę panią! Nie, ona stąd nie odejdzie; wróci i wyzna swoją winę.

Stała znów przy drzwiach i zadzwoniła tak silnie, że ją samą przeraził ten głos donośny.

Pokojówka otworzyła drzwi, spoglądając na nią ze zdziwieniem i niechęcią.

— Czego chcesz jeszcze? — spytała. — Rwie dzwonek i wraca niewiadomo po co.

Lecz Amelka nie słyszała prawie tego przywitania.

— Muszę widzieć się z panią — rzekła.

— A to natrętna dziewczyna! Jeszcze nie wiadomo, czy cię pani przyjmie.

— Kiedy tu chodzi o coś ważnego. Ja bardzo proszę panią, aby mnie przyjęła.

Służąca poszła do salonu i wkrótce wróciła, mówiąc:

— Możesz wejść!

Mama Helenki pytająco spojrzała na wchodzącą dziewczynkę.

Daremnie Amelka chciała coś przemówić. Słowa więzły jej w gardle. W milczeniu położyła rubla na stoliku.

— Co to znaczy?... Dla czego oddajesz tego rubla, moje dziecko? — zapytała pani ździwiona.

— Proszę pani, ja nie powinnam była brać tych pieniędzy i.. nie mogę ich zatrzymać.

— Ależ ja ci darowałam rubla w nagrodę za twoją uczciwość.

— Ja nie jestem uczciwą, — zapłakała Amelka — bo ja panią oszukałam.

— Co ty mówisz, moje dziecko? — zawołała pani. — Dlaczego się tak oskarżasz, wszak spełniłaś twój obowiązek!

— Nie, nie! — powtarzała Amelka. — Ja przedtem wyjęłam dwie czterdziestówki z tej portmonetki. Pani tego nie zauważyła, ale moje sumienie wciąż mi to wyrzucało.

Pani patrzyła ze współczuciem i wzruszeniem na płaczącą dziewczynkę. Polubiła ją za szczerość,

za hart duszy, jaki okazała w tej chwili. Amelka zaś w milczeniu pani domyślała się oznaki wstrętu i pogardy. Ach, teraz już wszystko stracone, wszystkie nadzieje rozwiane, i biedni rodzice zostaną bez pomocy; i to z jej winy!

— Zgubiłam pieniądze, które mi ojciec dał na kupienie chleba i kartofli — mówiła Amelka przerywanym głosem, — ostatnie, które ojciec przyniósł... zastawiwszy kamizelkę, a my wszyscy byliśmy tacy głodni!... Właśnie wtedy znalazłam tę portmonetkę, nie mogłam wrócić do domu bez chleba i mleka, i wyjęłam z niej tyle, ile zgubiłam.

Zdawało mi się, że nie mogę inaczej zrobić, gdy pomyślałam, jak tam w domu na mnie wszyscy głodni czekają.

— Czy powiedziałas to rodzicom?

— Nie, bo gdyby wiedzieli o tem, nie tknęliby jedzenia; ja jednak nie jeść nie mogłam, chociaż byłam bardzo głodna. Ojciec kazał przedewszystkiem oddać te pieniądze; a ja myślałam, że lepiej nie mówić o tych, które wzięłam. Wszak nikt o tem nie wiedział, tylko ja. Zapomniałam na razie, że Pan Bóg o wszystkim wie i wszystko widzi.

Odetchnęła głęboko i znów mówić zaczęła:

— Pani była dla mnie tak dobra... obiecywała pomyśleć o naszej przyszłości... nie zauważyła pani braku pieniędzy... więc chciałam już wrócić do domu,

i przynieść dobrą nowinę... Ale każdy krok tak mi ciężki, jak gdybym miała ołów na nogach... zdawało mi się, że na czole mam wypisane słowo «kłamca.» Nie mogłam nawet zejść z tych schodów i powracam, aby wyznać pani prawdę.

— O dobra, biedna Amelko! — szepnęła Helenka. — Ach, mamu, przebacz jej!

— Ja zasłużyłam na ciężką karę, — mówiła Amelka — tylko niech pani nie karze rodziców za moją winę; — ach! pani, zlituj się nad nimi, ja mam małych braciszków i siostrzyczki...

Mówiąc to, uklękła przed matką Helenki.

Pani przyciągnęła do siebie płaczącą dziewczynkę i chustką otarła jej oczy.

— Uspokój się, dziecko, — mówiła — będę twoją opiekunką. Twój żal, twoje wyznanie zmyło twoją winę; ja wiem, że ty już nigdy nie ulegniesz takiej pokusie?

— Ach! nie, — zawołała dziewczynka, i gorąco ucałowała ręce pani.

— Pobiegnijże do rodziców i zanieś im moje przyrzeczenie; a tego rubla przyjmij odemnie, moje dziecko.

— Dziękuję pani, ale ja wszystko, wszystko powiem rodzicom — szepnęła Amelka.

— Po cóż im to powiesz? — zapytała Helenka. Amelka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Alboż to wolno ukrywać co przed rodzicami? — wyrzekła poważnie. — Gdybym raz cokolwiek przed nimi zataiła, czy mogliby mi potem wierzyć?

Po wyjściu Amelki, w salonie długo panowała cisza. Matka rozmyślała, w jaki sposób mogłaby jak najprędzej znaleźć dobry zarobek dla tej biednej rodziny.

Nagle usłyszała jakby stłumione łkanie. Spojrzała na Helenkę — to ona płakała.

Na razie matka sądziła, że dziewczynka płacze ze współczucia nad dolą Amelki.

— Nie płacz, córeczko, — wyrzekła — dzięki Bogu, możemy pomódz tym biednym, zacnym ludziom.

Ale Helenka płakała dalej, pomimo pocieszenia. Wreszcie zawołała:

— Ja bardzo żałuję Amelki, mamusiu, ale ja płaczę teraz nad sobą. I ja także zataiłam moją winę, lecz oszukiwałam nie z nędzy, z niedostatku, tylko z bojaźni kary i wyrzutów. Staralam się, aby nikt o mojej winie nie wiedział.

Mama przestraszyła się.

— Cóż to być może, Helenko, cóżeś ty zrobiła i co zataiłaś?

Helenka opowiedziała szczerze o zatartym kajuście i o stłuczonym wazonie.

— Mamusia już mnie teraz kochać nie będzie! — dokończyła z płaczem.

Mama spojrzała na nią smutnymi oczami.

— Zmartwiłaś mnie bardzo, wierzyłam ci, a ty oszukałaś mnie i brata!

Helenka płakała coraz rzewniej. Mama mówiła z nią długo: o szczerości i uczciwości; że kto względem rodziców swych jest nie szczery, i kto pozwala, żeby podejrzenie rzucone zostało na innych, ten jest nieuczciwy.

Wreszcie szczery, głęboki żal Helenki wyjednał przebaczenie mamy.

— Pamiętaj,— mówiła — że wszędzie dosięgnie cię wzrok Boga, przed którym żadnego czynu utaić nie potrafimy.

W parę dni potem ojciec Amelki dostał zajęcie w fabryce ojca Helenki i nędza ustąpiła miejsca szczęściu, bo i matka Amelki, przy lepszym pożywieniu wkrótce przyszła do sił i zdrowia. Amelka zaś mogła na nowo chodzić do szkoły i uczyć się. Była zawsze uczciwą i szczerą dziewczynką.

Helenka zaś nigdy odtąd nie zapomniała o prawdzie, zawartej w słowach mamy; nigdy nie ukrywała swojej winy i nigdy nie kłamała, bo nie tak nie plami duszy, jak kłamstwo.



Imieniny Stasi.

— Co też ja dostanę na imieniny? — myślała Stasia, gdy zbliżał się dzień ósmego Maja, dzień św. Stanisława biskupa.

Mama zwykle spraszała na ten dzień jej przyjaciółki, urządzano wielki podwieczorek z czekolady, konfitur i ciastek; potem bawiono się w różne gry: w chowanego, w piłkę; była też loterja fantowa, a każdy bilet wygrał.

Co też to będzie w tym roku, tembardziej, że wuj Włodek przygotowuje dzieciom jakąś niespodziankę?

Stasia chodziła na pensję, uczyła się pilnie, skutkiem czego były dobre stopnie w cenzurach; mama zaś wzajemnie starała się uprzyjemnić jej święta i wakacje różnymi rozrywkami.

Stasia jednak rzadko z rozrywki zadowoloną była; zawsze pragnęła mieć więcej, niż miała, czem rodzicom nieraz wielką przykrość sprawiała.

Zaczęła też w niej rozwijać się brzydka wada zazdrości: jeżeli która z koleżanek miała piękniejszą od niej zabawkę, wtedy Stasia wpadała w zły humor, i z dąsem patrzyła na szczęśliwą towarzyszkę. Doszło nawet do tego, że gdy podobało jej się cokolwiek, bądź sukienka, bądź zabawka, chciała ją mieć natychmiast.

Mama kilka razy napominała Stasię, wykazywała, że zazdrość jest równoznaczną z brakiem miłości bliźniego; to też dziewczynka w obec mamy starała się ukryć swą wadę. Nurtowała ona jednak jej serduszko i sprawiała, że wiele koleżanek od niej się odsunęło; tylko jej najlepsza przyjaciółka, Józia, zawsze wiernie przy niej stała i broniła ją, gdy inne koleżanki z niechęcią odzywały się o zazdrosnej dziewczynce.

Rodzice Józii byli o wiele biedniejsi od rodziców Stasi, którzy mieli dużą kamienicę z pięknym ogrodem; dlatego Józia wiedziała co to jest oszczędność i nie miała zachcianek Stasi. Nigdy zazdrość nie powstała w jej sercu, czuła się więc bardzo zadowoloną ze swego losu i cieszyła się każdą radością swych braciszków, siostrzyczek lub koleżanek.

Pewnego dnia z rana, mama rzekła do Stasi:

— Po obiedzie pójdziemy za sprawunkami. Wuj Władek wymyślił dla was jakąś nową zabawę,

którą chce urządzić na twoje imieniny. Poproś Józję, aby z nami poszła.

Stasię niezmiernie zaciekawiła ta zapowiedziana zabawa.

— Moja złota mamusiu, niech mi mama powie, co to takiego będzie?

Lecz mama uśmiechała się, mówiąc, że to jest tajemnica, o której dowie się dopiero w dzień św. Stanisława.

— Jeszcze całe pięć dni mam czekać! — westchnęła Stasia.

Przy drzwiach pensji spotkała Józję, idącą do klasy i powtórzyła jej życzenie mamy; zauważyła przytem, że jej przyjaciółka ma trochę zmartwioną minkę.

— Co ci jest, Józiu! — spytała.

— Ach! moja droga, aż mi się płakać chce — odpowiedziała Józia. Julek stłukł mi ten serwis porcelanowy dla lalek, który dostałam od cioci na gwiazdkę.

— Jakiż ten Julek nieznośny — oburzyła się Stasia, wyłajając go przynajmniej za to?

— Przecież on nie zrobił tego umyślnie, — mówiła Józia — uniewinniając swego braciszka.

— To poprosisz rodziców, aby ci kupili inny serwis?

— O! ja nigdy nie proszę rodziców o zabaw-

ki; — zaprzeczyła Józia — zabawki to zbytek, a my nie mamy na zbytki.

— Jak to dobrze, że ja nie mam rodzeństwa — rzekła Stasia — przynajmniej nikt mi nic nie tłucze i nie psuje zabawek.

— Co też ty mówisz? — z przykrem zdziwieniem odpowiedziała Józia — ty nie wiesz, jaka to przyjemność mieć siostrzyczki i braciszków.

— Józiu, mama moja poleciła mi zapytać cię, czybyś nie chciała z nami pójść dzisiaj po południu po sprawunki, czy możesz?

— Chętnie pójdę, poproszę mamy, aby mi pozwoliła.

Nie miały jednak czasu dłużej rozmawiać, bo nauczycielka weszła do klasy.

Powróciwszy z pensji, Stasia opowiedziała mamie o zmartwieniu Józii.

Po obiedzie Józia przysła do Stasi; nie daleką miała drogę, bo dziewczynki mieszkały na jednej ulicy, w dwóch sąsiednich domach. Wkrótce poszły do miasta.

Mama nakupiła różnych zabawek; była tam piłka, lalka, łamigłówka, serwis porcelanowy, śliczne kajety; lecz najwięcej podobało się dziewczynkom wielkie pudło, na którym był napis: «Budownictwo z drzewa,» zawierające kilkadziesiąt klocków, z których można było ustawić dom, kościół, altanę, lub też

kilka domków; wszystkie miały okna z szyb kolorowych. Były tam oprócz tego stoły, krzeselka, fotele i kanapy dla umeblowania mieszkania.

Potem poszły do księgarni, gdzie mama kupiła tyle książeczek, ile przyjaciółek Stasia miała zaprosić na swoje imieniny. Widząc serwis, który kupiła mama Stasi, Józia tembardziej żałowała swego.

— Dla kogo to wszystko będzie? — pytały się nawzajem dziewczynki.

Kupione zabawki nie mogły przecież być wszystkie dla Stasi, tembardziej, że ona już miała takie same.

— Może to fanty na loteryję? — pytała Józia.

— O nie, to ma być jakaś niespodzianka, bo o niej mama wspominała.

Wracając do domu, dziewczynki ciągle tak prosiły mamy, aby zechciała im powiedzieć, dla kogo będą te wszystkie śliczne zabawki, że ta musiała im przyrzec, iż postara się, aby wuj wcześniej wypowiedział swą tajemnicę.

Na szczęście zastały go w domu.

Wuj śmiał się trochę i żartował z tej ciekawości, wreszcie rzekł:

— Wszystkie te zabawki pochowamy w ogrodzie, a wy będziecie ich szukały; każdemu z gości wolno będzie znaleźć dwie zabawki i te będą już do niego należały. Budownictwo z drzewa jest jednak

tak pięknym i drogim przedmiotem, że kto je znajdzie, temu już ono jedno wystarczyć musi.

Dziewczynki zaczęły klaskać w ręce i skakać z radości po pokoju.

— To będzie uciecha! Ciekawam, co też ja znajdę? — mówiła Józia.

— A ja? — odrzekła Stasia, pożądliwie patrząc na pudło z drewnianymi klockami.

— Ale kto pochowa zabawki? — zauważyła Kasia.

— Ogrodnik i ja, — objaśnił wuj — mam nadzieję, że pogoda dopisze, więc w ogrodzie łatwiej nam będzie poukrywać zabawki, a wam przyjemniej szukać na świeżem powietrzu.

— O to pysznie! wybornie! — wołały dziewczynki. — Żeby tylko znalazła to budownictwo! — westchnęła Stasia. — Ale pewno znajdzie je kto inny! — mówiła z żalem.

— Nie wiedziałem, że z ciebie taka egoistka — odezwał się wuj. — Jestem pewien, że Józia ma lepsze serce i w nagrodę pewno znajdzie taką zabawkę, którą się jej najlepiej spodoba.

— Tyle tu śliczności, — rzekła dziewczynka — że chyba każda z nas będzie zadowolona z tego, co znajdzie.

Stasia zawstydzona uwagą wuja, zarumieniła się mocno.

Józia pożegnała wkrótce mamę, wuja i przyjaciółkę, i obie dziewczynki, każda u siebie, zajęły się odrabianiem lekcji na dzień następny. Często jednak spoglądały w niebo, przyglądając się, czy deszcz nie grozi. Jakoż w przeddzień imiennin Stasi spadł deszcz rzęsisty.

— Wujaszku, — mówiła — czy ten deszcz nieznośny nie przestanie padać?

— Bądź spokojną, — mówił wuj — na jutro można spodziewać się pięknej pogody, bo barometr idzie w górę.

Rzeczywiście rano zajaśniała pogoda i po obiedzie Stasia mogła już zejść do ogrodu.

— Będziemy jutro chować zabawki, — rzekł do niej stary ogrodnik — co by też Stasia znaleźć chciała?

— Ach! ja mam ochotę tylko na jedną zabawkę.

— Na którąż to?

— W takim dużym pudle drewnianem są klocki duże i małe, z których można domy ustawiać, to śliczna rzecz!

— Może ją Stasia znajdzie.

— E... pewno nie znajdę, tyle będzie szukających.

— To niech Stasia poprosi mamę wprzód o tę zabawkę.

Dziewczynka potrząsnęła głową.

— Nie, mama powiedziała, że to niesprawiedliwie, ja przecież i tak dostanę na imieniny mnóstwo rzeczy, nie wiem jeszcze co; ale to budownictwo jest przeznaczone dla nas wszystkich, nie wiadomo więc, kto je dostanie — mówiła smutno.

Stary ogrodnik lubił bardzo Stasię.

— No,— rzekł — niech się Stasia nie martwi. Może ja Stasi dopomogę w znalezieniu tej zabawki.

Dziewczynka uśmiechnęła się z radości.

— Ach, to byłoby dobrze! — rzekła, i pocieszona wróciła do domu.

Nazajutrz Stasia przyjęła swoich gości, lecz z mniejszem, niżby należało ożywieniem i serdecznością; była roztargniona, myślała bowiem o zabawce, zapewne już gdzieś w ogrodzie ukrytej. Przybyły trzy dziewczynki i kilku chłopczyków, bawiono się w różne gry i wkrótce mama poprosiła dzieci na podwieczorek. Przy każdym nakryciu stała filiżanka napelniona pienistą czekoladą i talerzyk z ciastkami.

Dzieci, zajadając przysmaki, rozmawiały wesoło.

— Jak to dobrze, że Stasi imieniny wypadają na wiosnę, gdy już można biegać po ogrodzie — mówiła Julcia.

— Ja lubię zimę,— odezwał się Tolek — bo wtedy są Święta Bożego Narodzenia.

— I ślizgawka — dodała Jadzia.

— A na wsi taka dobra sanna—twierdziła Zosia.

Stasia najmniej mówiła. Dostała od mamy śliczne pudełko z przyborami do szycia, od ojca całe pudło farb, od wuja Władka książkę pod tytułem «Ciekawe obrazy z życia ludów,» w pięknej pąsowej oprawie ze złożonemi brzegami; lecz pomimo to wszystko, pragnęła jeszcze owego budownictwa z drzewa. Ciągle o niem myślała.

— Co chciałabyś znaleźć? — zapytała Stasia Józję.

— Chciałabym znaleźć piłkę, darowałabym ją zaraz Mani, mojej siostrzyczce, która swoją onegdaj przedziurawiła; a gdybym jeszcze znalazła łamigłówkę, oddałabym ją Heniowi.

— A dla siebie cóżbyś miała? — zdziwiła się Stasia.

— Nie, ale czyż to nie uciecha zrobić taką przyjemność rodzeństwu?

— Jednak Józia jest lepsza ode mnie! — pomyślała Stasia.

Tymczasem mama, widząc, że dzieci wypily już czekoladę, zaprosiła je do ogrodu. Wszystkie podziękowały za podwieczorek i pobiegły z wielką radością.

Rozbiegły się po alejach i ścieżkach ogrodu i zaczęły szukać po krzakach, w altanie, wszędzie, nawołując się i rozmawiając wesoło.

Najpierwsza Julcia znalazła piłkę, Józia wypatrzyła pudełko z łamigłówką w kieszeni wuja Wład-

ka, a co było przytem uciechy, co wrzawy i śmiechu! Stasia jedna była zamyślona, obeszła już altankę wokół, zajrzała do dziupli w wierzbie stojącej nad sadzawką, ale ani tam, ani tu nie było owego budownictwa. Wracając w stronę domu, spotkała ogrodnika, który patrzył na nią z filuternym uśmiechem; potem skręcił w boczną uliczkę i spoglądał kolejno to na Stasię, to na sporą taczkę, przewróconą do góry dnem przy agrestowym krzaku.

Dziewczynka zarumieniła się i pędem pobiegła do taczki. Z trudnością zdołała ją na bok odrzucić, by pochwycić ukryte pod nią pudło z klockami.

— Znalazłam! znalazłam klocki! — wołała uradowana.

Na ten okrzyk zbiegły się wszystkie dzieci.

— Jakaś ty szczęśliwa! — wołały. — Ja tyle razy przeszłam koło taczki i nie domyśliłam się niczego.

— Ja próbowałam nawet ruszyć taczkę, ale była za ciężka — wołała mała Julcia.

— Ach jak to dobrze, że znalazłaś to pudło, — cieszyła się Józia. — Tak tego pragnęłaś!

Stasia przy pomocy innych dzieci przydźwigała pudło do domu. Gdy już dzieci dostatecznie przyjrzały się klockom i wzorom wyjętym z pudełka, rozbiegły się znów, by szukać jeszcze kilku pozostałych zabawek. Józia znalazła jeszcze lalkę w stroju krakowskim.

Gdy już odszukano wszystkie zabawki, mama rozdała jeszcze dzieciom książeczki, zastosowane do ich wieku. Wszystkie były zadowolone i dziękowały rodzicom Stasi, oraz wujowi Władkowi.

Stasia była także niby zadowolona. Miała już zabawkę, której tak pragnęła!

Ale jakoś ta upragniona zabawka, którą nareszcie posiadała, nie sprawiła jej teraz tak wielkiej radości, jak sobie przedtem wyobrażała! Przez chwilę patrzyła na nią, potem westchnęła i odeszła od niej.

Poszła do dzieci, gdyż właśnie rozpoczęły się gry: w wolanta, w ślepą babkę, w lisa.

Wreszcie dzieci zmęczyły się i odpoczęły. Wtedy Julcia odezwała się:

— Stasiu, otwórz jeszcze raz to pudło z budownictwem i pozwól nam zobaczyć.

Dziewczynka otworzyła pudło. Dzieci zaczęły wyjmować cegielki i budować domki; Stasia jednak nie brała udziału w tej zabawie, lecz przyglądała się przez okno staremu ogrodnikowi, który siedząc w ogrodzie na ławeczce, strugał koleczki do kwiatów.

Józia podeszła do niej.

— Co ci jest, Stasiu? — spytała — jesteś jakaś smutna?

— Ej, nie, — odparła — głowa mnie tylko boli, pójdę na chwilkę do swego pokoju.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Usiadła w rogu

sofki, oparła głowę na poręczy i zamknęła oczy. Było jej smutno i jakby na płacz się zbierało. Sumienie zaczęło wyrzucać jej oszukaństwo, którego się dopuściła.

Wtem usłyszała w drugim pokoju jakieś ciche kroki, a po chwili uczuła miękką rękę na czole.

Otworzyła oczy;— to mama przyszła zaniepokojona o jedynaczkę.

— Co ci jest, kochanie? — spytała.

— Ach, mamó! mamó! — szepnęła, wybuchając płaczem.

— Co ci się stało?

— Ach, to coś tak straszego... mamusia już pewnie przestanie mnie kochać!...

— Dlaczego, moje dziecko! Powiedzże mi szczerze, co cię tak martwi?

— Kiedy... kiedy... mamusiu... — jąkała dziewczynka — wstydę się.

— Mnie się wstydzisz? — pytała mama. — Jeżeli zrobiłaś co złego, tembardziej nie powinnaś tego ukrywać; może się to da naprawić!

— Mamusiu droga, już powiem, ja... ja tak chciałam dostać to budownictwo, i... ja... oszukałam wszystkich — mówiła Stasia, płacząc rzewnie; poczem opowiedziała mamie wszystko.

Mama, choć się bardzo zasmuciła, rada była, że Stasia tak szybko spostrzegła swoją winę.

— Źle zrobiłaś, dziecko moje, nie robię ci jednak wyrzutów, bo widzę, że i tak cierpisz bardzo. A wiesz ty, jak się nazywa ta wada, która cię skłoniła do tego podejścia?

Stasia załzawionemi oczami patrzyła na mamę.

— Nie wiem, mateczko moja najdroższa.

— Samolubstwo! jest to jedna z najbrzydszych wad, i bardzo byłabym nieszczęśliwą, gdybym nie miała nadziei, że córeczka moja wyleczy się z niej.

— O mamó złota, jakaś ty dobra! poradź, jak naprawić to, co zrobiłam? bo chociaż to budownictwo jest takie śliczne, i ja od kilku dni tylko o niem myślałam, teraz... nie mogę patrzeć na nie. Nigdy, nigdy bawić się niem nie będę mogła!...

— Widzę, moje dziecko, że szczerze żałujesz twego postępku, zrobimy więc tak, aby nikt o tem się nie dowiedział i aby złe zostało naprawione.

— Jak, mamusiu, jak?

— Puścimy na loteryję tę nieszczęsną zabawkę. Stasia rzuciła się do rąk matki.

— Czy mnie mama jeszcze kochać będzie? — szepnęła nieśmiało.

Mama przyciągnęła ją do siebie.

— Będę cię kochała tak, jak dotąd, bo wierzę w twój szczerzy żal, wierzę, że córeczka moja nie będzie egoistką. Obetrzyj oczy i uspokój się trochę,

bo twoi goście pewno się dziwią, że nie jesteś razem z niemi.

Po chwili obydwie wyszły z pokoju, a mama powiedziała dzieciom, że na życzenie Stasi, budownictwo z klocków zostanie rozlosowane.

— Jaka ta Stasia dobra! — zawołała Józia.

— Kto też wygra tę zabawkę? — wołała Tola.

Mama przygotowała kartki. Zaczęło się ciągnięcie. Julcia rozdała wszystkim zwinięte kartki; na jednej z nich był napis: «Budownictwo z drzewa,» kto ją dostanie, ten wygrywa zabawkę.

Dzieci zaciekawione zaczęły rozwijać kartki; każde pragnęło zobaczyć napis na swojej karteczce.

Los zrządził, że zapisaną kartkę dostała Józia.

— Brawo! brawo! niech żyje Józia! — wołały dziewczynki, — ona jest najlepsza z nas wszystkich, słusznie należy się jej najpiękniejsza zabawka.

— Dziękuję wam, ale przepraszam, nie jestem najlepsza!

Zwróciła się do mamy Stasi.

— Proszę pani, ja tego budownictwa nie mogę przyjąć; Stasia go tak pragnęła, niech je Stasia zatrzyma.

— Stasia cieszy się, żeś ty wygrała, będziecie się razem bawiły.

Stasia rzuciła się na szyję przyjaciółce i ucałowała ją.

— Nie, nie, Józiu, ja tego budownictwa już nie chcę.

Ale Józia długo jeszcze zabawki przyjąć nie chciała. Taka śliczna rzecz dla niej! Lecz w końcu przyjąć ją musiała, gdyż mama śmiejąc się z jej wzdragań, rzekła:

— Zatrzymaj to budownictwo, Józiu; twoi braciszkuwie i siostrzyczki będą się niem bawić, zresztą ja ci to odeszłę do domu, bo i tak sama udźwignąć byś go nie mogła.

Tymczasem nadszedł wieczór. Mama zaprosiła dzieci na herbatę.

Bawiono się przy niej jeszcze weselej, niż przy podwieczorku, gdyż Stasia odzyskała humor i okazywała niewidzianą dotąd w niej uprzejmość.

Pod koniec herbaty coraz odzywał się dzwonek; to służące przychodziły, by odprowadzić dziewczynki do domu.

Około dziewiątej zaczęto się żegnać. Goście serdecznie dziękowali mamie Stasi za przyjęcie.

Józia została ostatnia.

— Dla czego oddałaś budownictwo na rozlosowanie? — spytała koleżanki.

— Moja kochana Józiu, — wyznała dziewczynka — ja bardzo zgrzeszyłam.

I zawstydzona opowiedziała powtórnie rzecz całą, a w końcu dodała:

— Chcę, żebyś wiedziała o tem; ty jesteś dla mnie tak dobrą, oszukiwałabym cię, gdybym prawdę utaiła.

Józia ucałowała ją.

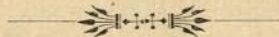
— Ja chcę się poprawić, — ciągnęła dalej Stasia — ja muszę być tak dobrą jak ty i mniej myśleć o sobie, a więcej o innych.

— Moja kochana Stasiu, — rzekła Józia — zrób mi tę łaskę i przyjmij odemnie napowrót to budownictwo, niech ono będzie twojem.

— Nie, nie mogę, Józiu, teraz zabawka ta nie robiłaby mi tej przyjemności. Cieszę się, że to ty ją wygrałaś!

Obie dziewczynki uściskały się znów serdecznie.

Stasia była odtąd na równi z Józią ulubienicą koleżanek i pociechą, oraz radością rodziców.



DWIE SKARBONKI.

(z obrazkiem).

Nadchodziło Boże Narodzenie.

Na dwa dni przed wielkiem świętem wypadła niedziela i wiele ludzi, korzystając z dnia pogodnego i wolnego od pracy, udało się do miasta powiatowego dla zakupów.

Stara Jakubowa z Kalinówki poszła tam również. Kupiła już kaszy, mąki, trochę maku i miodu, wreszcie sporą kielbasę, a teraz rozmyślała, co przywieźć w podarunku swemu wnukowi, Pawelkowi.

Chciała kupić coś ładnego i pożytecznego zarazem, bo na zbytki pieniędzy nie miała.

Jakubowa była oddawna wdową. Mąż jej zmarł w młodym wieku; po jego śmierci musiała ciężko pracować, by wyżywić siebie i małą córeczkę. Gdy ta dorosła, wydała ją za mąż za murarza, dobrego

i pracowitego człowieka; niedługo jednak cieszyła się spokojem; murarz spadł z wysokiego rusztowania przy budowie domu i zabił się na miejscu. Biedna wdowa ze zmartwienia dostała suchot, i we dwa lata po śmierci męża podążyła za nim. Stara Jakubowa musiała teraz wychowywać jedynego wnuka.

Pawełek był jej chlubą, pociechą w osamotnieniu i nadzieją; wierzyła, że gdy dorośnie, wyjdzie na na porządnego człowieka i że jej trudy nie pójdą na marne.

Oprócz swojej pracy, Jakubowa posiadała jeszcze karmicielkę, którą radowała się codziennie; a była nią krowa, najpiękniejsza, jaką widzieć można. Sierść miała czarną, błyszczącą, białą łatkę na czole i dawała tyle mleka, że nietylko wystarczało dla nich obojga, ale było jeszcze i na sprzedaż.

Czarnula miała lat sześć, akurat tyle, ile Pawełek, który utrzymywał, że on i krówka razem na świat przyszli.

W rocznicę swych urodzin Czarnula dostawała podwójną porcję siana, co ją zapewne bardzo cieszyło, oraz wieniec z kwiatów na szyję, co znów niezmiernie radowało Pawełka.

Gdy nadchodziła cieplejsza pora, Pawełek szedł zrana paść Czarnulę na wygonach i w rowach przydrożnych, przyczem sam zbierał w płachtę większe kępkę trawy i koniczyny, by siana w zimie nie zbra-

kło; to też nie wiadomo kto w lecie miał lepsze życie: krowa czy chłopczyk.

Para ta żyła z sobą w wielkiej przyjaźni.

Jakubowa stanęła przed wystawą sklepu z zabawkami, przed którą cisnęło się mnóstwo ludzi. Bo czegoż tam nie było?... Lalki, żołnierze, zwierzęta, domy, pokoje dla lalek, lokomotywy, piłki, baciki, obręcze i wiele innych śliczności.

Najciekawszą jednak była skarbonka w kształcie zamku z wieżą. Piękna to była zabawka, ale musiała też być bardzo kosztowną! W tym sklepie wszystko było za drogie dla Jakubowej. Już miała odejść, gdy piękny powóz zatrzymał się przed sklepem. Poznała pojazd i siwego pana, który z niego wysiadł; był to ojciec właściciela Kalinówki, który pewno przyjechał kupić sporo zabawek dla wnucząt. Był to bogaty pan, mógł więc kupić, co mu się podobało.

Stara kobieta wsunęła się za nim do sklepu, ciekawa, co też pan kupi. Długo wybierał i odkładał różne przedmioty, lecz jeszcze za czemś się oglądał. Wtedy kupiec dobył z wystawy grającą skarbonkę. Pan wrzucił pieniążek i roześmiał się, słysząc krakowiaka, który zabrzmiał po wrzuceniu monety. Przyłączył więc skarbonkę do wybranych zabawek.

Jakubowa westchnęła i poszła dalej; takich drogiech cacek kupić nie mogła, jednak jaką skromną

skarbonkę chciałyby dać swemu wnukowi; na początek włożyłyby w nią kilka groszy.

Na placu stało wiele kramików, gdzie można było dostać tanich zabawek. Znalazła też skarbonkę w kształcie domku z czerwonym dachem i niebieskimi okienicami. W dachu widniała szpara, w którą rzucało się pieniądze, w drzwiach domu tkwił maleńki kluczyk, za pomocą którego można było domek otwierać, gdy trzeba było wyjąć oszczędzone pieniądze. To cacko kosztowało całe dwa złote, lecz na tak piękną rzecz warto wydać trochę pieniędzy.

Jakubowa musiała jeszcze kupić szyfrową tabliczkę, bo od Wielkiej Noey Pawełek miał chodzić do szkoły, dalej gąbkę i szyferek.

Jakaż radość miał Pawełek, gdy na Boże Narodzenie dostał te wszystkie śliczności. Skakał, biegał, klaszcząc w ręce, w końcu pobiegł do obórki, by pokazać Czarnuli swoje podarki. Krowie dał też Pawełek podarunek w postaci nadetatowej wiązki koniczyny. Czarnula już ją zjadła i leżała spokojnie, przyglądając się skarbowi chłopca. Tabliczka, gąbka i ołówek żadnego, zdaje się, wrażenia na niej nie wywarły, lecz gdy Pawełek zaczął przed nią potrząsać skarbonką, w której dźwięczały grosze, krowa nastawiła uszy i dwukrotnie zaryczała, a nawet wyciągnęła język, jak gdyby chciała polizać skarbonkę.

— No, Czarnula, nie można, nie wolno! — wołał Pawełek, chowając za siebie skarbonkę.

Krowa zamruczała znowu, jak gdyby chciała powiedzieć:

— Jeżeli to nie dla mnie, to po cóż mi to pokazujesz?

— Niemądra Czarnula, — powiedział chłopczyk — to przecież jest skarbonka, a w niej brzęczą trzygroszniaki, które babka włożyła; ja też każdy grosz oszczędzony będę tu wrzucał, a potem kupię ci coś bardzo pięknego.

Czarnula kiwała ciężką głową i znowu mruczała.

Pawełek rozumiał swoją krówkę, opowiadał jej zawsze o swoich zmartwieniach i radościach. Teraz pewno chciała zapytać, co on pięknego kupi?—A on sam jeszcze nie zrobił wyboru. Lecz w tejże chwili przyszła mu do głowy myśl tak wspaniała, że aż krzyknął olśniony. Podarki, które trzymał w ręku, położył na pace, a sam objął Czarnulę za szyję i szepnął jej do ucha:

— Już wiem! Kupię dla ciebie obrozę i kołatkę. Ucieszysz się, prawda?

Czarnula widocznie się ucieszyła, gdyż znowu zamruczała przeciągle; bo też Pawełek dał jej obietnicę wspaniałą. W całej Kalinówce jedna tylko krowa dworska, która szła zawsze na czele stada,

miała kołatkę; ale też trzeba było widzieć, z jaką dumą ją nosiła.

Niedługo jednak i Czarnula dostanie taką samą kołatkę!...

Poklepał krowę po karku na pożegnanie i pobiegł do babki, by podzielić się z nią swoim zamiarem.

— Czy wiesz, babuniu, co ja zrobię? — zawołał.— Zbiorę dużo groszy i kupię obróżę i kołatkę dla Czarnuli. Ty sama babciu, wybierzesz mi ją i kupisz w mieście.

— Dużo czasu upłynie, zanim zbierzesz tyle pieniędzy — rzekła babka.

— To nie nie szkodzi,— zapewniał Pawełek — kiedyś przecie zbiorę tyle pieniędzy, ile trzeba. A czy kołatka tak drogo kosztuje? Może z dziesięć, może sto złotych?

— Co też ty wygadujesz, mój Pawełku! Czas już doprawdy, abyś zaczął się uczyć i nie plół bez sensu. Zawsze to jednak droga rzecz.

Pawełek zafrasował się.

— Obiecałem już Czarnuli kołatkę z obróżą,— powiedział płaczliwie.

Babce żal zrobiło się wnuka.

— Zbieraj więc, ile możesz, Czarnuli należy się piękny prezent, bo to nasza karmicielka.

* * *

Tegoż dnia we dworze płonąła świecami ogromna choinka, obok której, na wielkim stole leżały porozkładane podarki dla dzieci i dla całej służby dworskiej. Gwarno było w wielkiej sali, dzieci zwłaszcza najgłośniej radość swoją objawiały.

— Która zabawka najpiękniejsza? — pytała Elżunia, najmłodsza z trojga rodzeństwa.

— Chyba skarbonka! — wołał Franio.

— Z pewnością — potwierdził Karolek.

— Jednak i ta łamigłówka jest bardzo zajmująca — zauważył Franio.

— Ja zaraz zabiorę się do ustawienia całego pociągu z lokomotywą,— wołał Karolek, który zawsze miał pociąg do mechaniki.—Zobaczycie, jak to będzie pięknie, gdy te wszystkie kółka zaczną się poruszać.

— Przedtem jednak wrzucimy do skarbonki pieniądze, które dziadzio nam przygotował — radziła Elżunia.

Skarbonka ślicznie grała, ale nie darmo: kto chciał usłyszeć krakowiaka, oberka lub mazura, ten musiał wpuścić jaki pieniądz.

Karolek i Franio tak obstąpili skarbonkę, że Elżunia nie mogła doczekać się swej kolei, aż mama musiała wdać się w tę sprawę i pilnować, by dziewczynka również dziesiątkę rzucić mogła.

— Dzieci, dosyć już tej zabawy! — wołał ojciec — zostawcie sobie trochę pieniędzy na jutro!

— Poprosimy dziadunia, aby nam znowu dał miedzaków — odezwał się Franio.

— Oho! tego nie obiecuję — zaśmiał się dziadzio. — Skarbonka nauczyłaby was rozrzutności cudzym kosztem; tymczasem to nie ja, lecz wy karmić musicie waszą skarbonkę.

Dzieci posłuchały rady ojca i dalszą zabawę ze skarbonką odłożyły na dzień następny.

Chłopcy, stosownie do cenzury, otrzymanej od domowego nauczyciela, dostawali od dziadka i babki bądź to podarunki, bądź to pieniądze; postanowili więc składać je do skarbonki.

— A ja, co złożę? — zapytała mała Elżunia — nie uczę się jeszcze, a nawet rachować umiem tylko do dwudziestu.

— Hm! Znam jedną dziewczynkę — rzekła babcia, która nie zawsze miewa czyste rączki i brudzi bardzo prędko fartuszki.

— To ja, babciu! — zawołała Elżunia.

— Gdyby ta dziewczynka chciała się poprawić, pomyślałabym o skarbonce — mówiła znów babcia.

— Ach, babciu, już ja poprawię się z pewnością.

— Skoro pragniecie wszystkie pieniądze oszczędzać, — odezwał się dziadzio — chciałbym wiedzieć, co kupilibyście za nie?



— Zebrane pieniądze będziemy chować, a gdy dorośniemy, dopiero będziemy bogaci! — odezwał się Franio.

— Ej, nie! — zawołał Karolek. — To za długo czekać, ja mam lepszy projekt! Gdy zbierzemy dużo miedziaków, wtedy poprosimy tatusia, aby zawiózł nas do miasta; tam wykupimy wszystkie ciastka z cukierni i wyprawimy bal! — prawda Elżuniu?

— Dobrze, dobrze! — wołała siostrzyczka.

— A gdy wszystko wydamy, potem znowu będziemy musieli zbierać pieniądze? — odezwał się Franio.

— Wstydzicie się, mówicie tylko o jedzeniu, jakbyście go nie mieli dosyć — rzekł dziadzio. — Nie, ja o czemś innem myślałem, kupując skarbonkę. Chciałem, abyście się sami przekonali, jak to długo czekać trzeba, zanim z groszy zbierze się rubel, a z rubli większa kwota, za którą kupićby można jakąś rzecz użyteczną lub przyjemną. Pomyślcie nad tem, my wam dopomożemy w wyborze.

Dzieci zaczęły rozprawiać nad pytaniem: co kupić za zebrane pieniądze? Elżunia znowu wspomniała o pudle czekoladek, lecz teraz bracia przyjęli ten projekt z lekceważeniem, tak, że mama musiała pocieszać rozżaloną dziewczynkę. Wtedy chłopcy zaproponowali kupno rac i świec rzymskich, któreby zapa-

lali na imieniny dziadzia, ojca i mamy; ale o tem znów Elżunia słyszeć nie chciała.

Podawano kolejno różne projekty, aż nareszcie Franio zawołał:

— Już wiem, już wiem! kupimy mały powozik, zaprzężony w kozy. Widziałem taki na obrazku.

Projekt ten podobał się; przyjęto go jednogłośnie.

— Powozik musi mieć budę, któraby nas od deszczu zakryła, — mówił Karolek — ja będę powoził; chociaż zmoknę, mniejsza o to; Elżunia i ty Franiu, siedzieć będziecie w powozie.

— Ja wolę powozić! — zawołał Franio.

— Nie, ty zawsze dostajesz kataru, ile razy zmokniesz.

— Ale i ja też chcę powozić!

— Nie potrafisz...

— A ty potrafisz?

Dziadzio przerwał dalszą sprzeczkę, oznajmiając, że będą mogli kolejno powozić. Chłopcy pragnęli teraz końca wakacji świątecznych, do których przedtem tęsknili, tak im pilno było za dobre cenzury zbierać skarby. Zazdrościli Elżuni, która codziennie zadziwiała wszystkich czystemi fartuszkami.

Po kilku tygodniach dzieci przekonały się, że zebranie większej sumy dużo czasu zabierze; stopnie w dzienniku nie zawsze zadawałały rodziców; Elżunia też czasami zapominała o czystości rączek, a cho-

ciaż dziadzio i babcia zasilali od czasu do czasu skarbonkę swemi dodatkami na powozik i kozy, dzieci widziały, że długo jeszcze czekać muszą.

Tak minęła zima, a choć i ona miała swój urok, dzieci cieszyły się wiosną i nadzieją długich spacerów po łąkach, po lesie. Po skończeniu bowiem lekcji, zwykle bawiły się na dworze.

Podeczas tych spacerów nieraz spotykały Pawełka, którego znały jako sąsiada, a który niedaleko pisał swą Czarnulę; rozmawiały z nim przyjaźnie, zapytywały co robił w zimie, czy babka zdrowa, przy czem głaskały piękną, łagodną krówkę.

— Czarnula jest w tym roku jeszcze łagodniejsza, niż w przeszłym, — mówił Franio — a czy zawsze daje dużo mleka?

— O, dużo! — odpowiadał dumnie Pawełek. — Za mleko dostajemy dużo pieniędzy, wszyscy chwala, że jest doskonałe.

— Bardzo lubisz Czarnulę? — pytał Karolek. Pawełek skinął głową.

— Najwięcej kocham babkę, a potem Czarnulę. Ale i ona mnie kocha.

Krówka widocznie zrozumiała, że o niej mowa, bo polizała Pawełka po głowie, a potem wyciągnęła głowę ku wiązce rumianku, którą chłopczyk trzymał w ręku.

— To nie dla ciebie, Czarnula, — zawołał — ale i ty z tego będziesz coś miała.

— Jakto?... Co ona będzie miała?— spytał Karolek, nie rozumiejąc słów Pawelka.

— Ja zbieram rumianek i inne zioła, które babka sprzedaje w aptece, — objaśnił chłopczyk — a wtedy i ja także dostaję trochę miedziaków; składam je do skarbonki.

— I ty masz skarbonkę?— zawołały dzieci — taka, co wygrywa różne melodie, gdy do niej wrzuca się pieniądze?

Pawełek ździwił się, że jest taka skarbonka, ale utrzymywał, że choć jego nie wygrywa krakowiaków, jest to także śliczność nad ślicznościami.

— A masz w niej także złoty pieniądz? — zapytała Elżunia. — My mamy już dwa złote pieniądze, ale to i tak za mało na to, co mamy kupić.

— W mojej skarbonce są same miedziaki i jeszcze mi sześćdziesięciu dwóch groszy brakuje do rubla — mówił Pawełek.

— My kupimy sobie powozik i dwie kozy, gdy uzbieramy dużo pieniędzy; a ty co sobie kupisz?

Pawełek spojrział na Czarnulę i uśmiechnął się.

— Ja zbieram pieniądze dla krówki, kupię jej kołatkę i piękną obrozę!

Zamiary Pawelka nie zadziwiły dzieci, one także uważały, że ta krowa jest warta takiego stroju.

Dzieci spotykały się prawie codziennie z Pawelkiem, Czarnula zjadała smaczną trawę, a on zbierał chwast dla niej lub zioła dla aptekarza; mówił zawsze dzieciom o nowem wzbogaceniu swej skarbonki, a one również zwracały mu się, ile im przybyło pieniędzy.

Pewnego dnia przynieśli skarbonki, by je sobie nawzajem pokazać; Karolek przyniósł także pieniążek, by Pawełek usłyszał, jak to pięknie gra ich kasa oszczędności. Pawełek dziwił się i potrząsał swoim domkiem, by pokazać, ile tam brzęczy miedziaków. Wreszcie otworzono skarbonki, przeliczono pieniądze i obydwie strony były bardzo zadowolone.

Pawełek nie wiele jednak mógł odłożyć; babka rzadko mogła mu coś dorzucić; za zioła nie wiele płacono, a także nie wiele mógł ich narwać, musiał bowiem dla Czarnuli zbierać pożywienie na zimę. Ścinał więc trawę i całemi koszami zanosił ją do domu; kosz był duży, Pawełek mały, to też gdy tak szedł obciążony, wyglądał zdaleka jak wzgórek wędrującej trawy. Na podwórku starannie wymiecionem suszył tę żywność krowy, przewracał, przetrząsał źdźbła, by wszystkie schły równo i zamieniły się w pięknie pachnące siano.

Nadchodziła jesień, Pawełek chodził z krówką do lasu i zbierał mech oraz zeschłe liście na podściółkę dla swej karmicielki. Mało więc pozostawa-

ło mu czasu na zbieranie ziół. Lecz Pawełka cieszył każdy trojak zdobyty. Nieraz nawet, podczas spaceru, dzieci pomagały mu zbierać rumianek, by wzbogacić jego kasę. Mała Elżunia obdarzała go rozmaitemi kwiatkami, które zrywała, sądząc, że przysłuży się niemi chłopcykowi.

— Ach! — westchnęła dziewczynka — teraz już jesień, potem będzie zima, skończą się spaceru i nie będziemy już spotykać Pawełka i jego krówki!

— Nie lubię zimy, — mówił Pawełek — tak mi czasem ręce marzną, gdy idę do szkoły.

— Ale w zimie jest gwiazdka — zauważył Franio.

— A potem to już niedługo znów wiosna, — rzekł Karolek. — Na Wielkanoc w tym roku już kwitły fijołki i kluczyki; w Wielki Czwartek biegaliśmy po ogrodzie bez okryć, tak było ciepło.

— Na przyszłą wiosnę Czarnula już pewno dostanie obrożę? — mówiła Elżunia.

— A my przyjedziemy do Pawełka powozikiem, zaprzężonym w kozy!

— Wtedy już zdaleka usłyszycie kołatkę Czarnuli — cieszył się Pawełek.

— A to dobrze! — mówił Karolek — zajedziemy tam, gdzie twoja krówka zakolacze.

— Białka i Bielusia, — odezwał się Franio — bo tak nazwiemy nasze kozy, zaprzyjaźnią się pewno z twoją Czarnulą.

— Pewno, — wołał Karolek — nasze kózki i Czarnula razem paść się będą, a my z tobą będziemy zrywali zioła.

— A później na co będziemy zbierali pieniądze? — zapytała Elżunia.

Chłopcy nie umieli odpowiedzieć na to pytanie.

— Mamy jeszcze na to czas — mówili.

Tymczasem zima nadeszła. Mróz ścisnął ziemię, śnieg ją pokrył.

Jednego dnia była taka ślizgawica, że babka Pawełka idąc do miasta, poślizgnęła się i upadła tak nieszczęśliwie, iż złamała nogę.

Wiadomość ta doszła do dworu i dzieci zmartwiły się bardzo. Tatuś ich posłał babce lekarza, ten opatrzył nogę, ale kazał biednej kobiecie leżeć przez dwa miesiące.

Pawełek pielęgnował babkę, jak umiał; on teraz ogień rozpałał, zamiatał chatę, obrządzał Czarnulę.

Chłopczyk pracował nad siły; pomagała mu trochę litościwa sąsiadka. Z dworu zaś przysyłano często posilny rosół i mięso dla chorej babki.

Jednego dnia dzieci same przyniosły posiłek, chciały bowiem odwiedzić swego małego przyjaciela, na co mama chętnie pozwoliła.

Towarzyszył im służący, niosąc to, co rodzice

dla biednej babki posyłali i aby je w drodze dopilnować.

Z jakąż przyjemnością powitały dzieci biednego Pawelka, który stał teraz wobec nich oniesmielony i smutny. Rozruszał się dopiero w obórcie, do której zaprowadził dzieci, bo i one chciały powitać swoją znajomą, Czarnulę.

— Czy babuni twojej zrośnie się złamana noga? — pytała Elżunia.

— Doktor powiedział, że się zrośnie, ale babka nie będzie już mogła tak chodzić jak przedtem.

— To będzie mniej zarabiała? — zapytał Franio.

— Cóż robić! — westchnął Pawełek. — Mamy przecież naszą krowę, która nam zawsze dużo mleka daje, to musi nam wystarczyć na życie.

Nareszcie po długich i smutnych miesiącach zimowych nadeszła wiosna; słońce rozpuściło śniegi. Z pod nich wyrzały źdźbła trawy, potem pierwiosniki i fijołki.

Pawełek wyprowadził swoją Czarnulę na zieloną paszę i jakoś weselej spojrział na świat, widząc, że już naprawdę przeszła smutna i ciężka dla niego zima. Babka mogła już wychodzić z domu, ale musiała opierać się na kiju, by nie zmęczyć nogi zaledwie wyleczonej.

Dawniej załatwiała nieraz w mieście różne sprawunki bogatszych gospodarzy Kalinówki, pomagała

im w robocie, za co dostawała bądź to trochę pieniędzy, bądź też trochę kaszy, mąki lub słoniny.

Teraz już nie mogła w ten sposób zarabiać; za to Czarnula, jakby domyślając się, że ona jedna musi wyżywić rodzinę, dawała mleka więcej niż poprzednio.

Karolek, Franio i Elżunia, korzystając z pierwszego pięknego dnia, wyszli na spacer, oglądając się za Pawelkiem; zobaczyły go na wygonie i z radością wielką powitały. Długo z nim gawędzili, bo przecież tyle było do opowiedzenia o różnych wypadkach z ich życia, o cenzurach, o nowych zabawkach i wielu innych rzeczach!...

— Niedługo już kupimy sobie powozik i kozy! — wołał Franio. — Uzbieraliśmy już dużo pieniędzy. Gdy byliśmy z tatusiem w mieście, obstalowaliśmy śliczny powóz.

— Teraz znowu będziemy przychodzić do ciebie — mówiła Elżunia. — Będziemy znowu zbierali kwiaty i zioła dla ciebie. A obroża dla Czarnuli prędko będzie?

Pawełek zarumienił się i nic nie odpowiedział. Dzieci to zauważyły, ale nie odgadywały przyczyny; czyżby zubożała jego skarbonka?...

— Nie zmieniłeś przecież swego zamiaru? — pytał Karolek.

Pawełek potrząsł głową przecząco.

— To byłoby brzydko, gdybyś zmienił zda-

nie, — zawołał Franio — gdybym był na miejscu Czarnuli, nigdybym ci tego nie darował.

— Co Pawełek obiecał, to dotrzyma, — zapewniał Karolek — tyle razy mówił swojej krówce o tej obroży i kołatce; ona dawno na nie czeka.

Pawełkowi cisnęły się łzy do oczu, usta mu drżały.

— Nie mogę już jej kupić obroży, — przemówił wreszcie — powiedziałem jej dla czego i ona mnie zrozumiała.

— A to co nowego?... Nie kupisz, dla czego?

— Nie, — zawołał płacząc Pawełek — bardzo kocham naszą Czarnulę, ale daleko więcej kocham moją babkę. Doktor powiedział, że babce trzeba wina, więc wyjąłem pieniądze ze skarbonki i kupiłem w mieście butelkę. Nawet brakowało mi jeszcze złotych i pożyczył mi ją aptekarz.

— Czemuż nie przyszedłeś do nas? — pytała Elżunia.

— I tak państwo często nam przysyłali. Nie śmiałem prosić — odpowiedział chłopczyk.

Dzieci umilkły i ze współczuciem patrzyły na Pawełka.

— A wino pomogło twojej babce? — zapytała Elżunia.

— Bardzo pomogło. Doktor mówił, że przywróciło jej zdrowie.

— Wiesz, że Czarnula jest i bez obroży śliczną krową — odezwał się Franio.

— To prawda — wołała Elżunia.

W ten sposób dzieci starały się pocieszyć Pawełka. Potem pożegnały go, a wracając do domu, urządziły wyścig, kto pierwszy dobiegnie do mamy i opowie jej, na co Pawełek użył pieniędzy.

Nazajutrz tatuś mówił, że trzeba stárszce posłać butelkę dobrego wina. Dzieci uprosiły go, że same zaniósą ten podarek.

Elżunia także prosiła mamę, aby i jej co dała dla babki Pawełka.

— To ja nie nie zaniosę? pójdę z pustymi rękami? — spytała — ja także kocham Pawełka.

Mama dała jej kawałek pieczeni.

Babka serdecznie dziękowała dzieciom za dobre serce, a Pawełek aż uściskał Czarnulę, spokojnie leżącą w obórce i szeptał jej do ucha:

— Teraz babka z pewnością wyzdrowieje, nieprawdaż, krówko?

W kilka dni później dziadzio z babcią przyjechali w odwiedziny do Kalinówki.

— No, pokażcie dzieci, waszą skarbonkę, zobaczę, ileście zbierały pieniędzy? — rzekł dziadzio.

— Prosimy, niech dziadzio zobaczy, już jest bardzo dużo.

— Pięknie! Widzę, że dzieci nauczyły się już oszczędności i wiedzą, jak to długo trzeba starać się, by uzbierać większą sumę. Ponieważ brak jeszcze trzech rubli, więc je wam dodam; będziecie teraz mogły kupić sobie powozik.

Następnego dnia wypadła rocznica urodzin Elżuni. Dziewczynka dostała wiele podarków, śliczną lalkę z jasnymi włosami, łamigłówkę, ogromną piłkę, wreszcie rubla, który natychmiast poszedł do skarbonki.

— Możemy już teraz myśleć o kupieniu kózek, — odezwał się Karolek. — Powozik pewno już gotów.

Zaczęto rozmawiać o tem i robić różne projekty; kozy miały być koniecznie białe, jednakowej wielkości. Takich kóz nie wszędzie dostać można. To też dni mijały, a zwierząt jeszcze nie kupiono.

Aż tu pewnego dnia dano znać dzieciom, że przez wieś przeciąga koziarz z całym stadem kóz; wybiegły więc na drogę; za nimi podążyli rodzice wraz z nauczycielem.

Kóz było mnóstwo. Elżunia już upatrzyła parę białych, lecz jej braci tak zachwycała para czarnych kozłów, że pomimo poprzedniego postanowienia, zdecydowano się na czarne. Należało teraz wypróbować, czy się dadzą zaprząd. Handlarz miał za-

bawić parę dni w pobliżkiem miasteczku, więc czasu na próbę nie brakowało.

— Pawelek musi także obejrzeć nasze kozy — mówiły dzieci i pobiegły w pole, aby go poprosić.

Gdzie jednak dzisiaj mógł być Pawelek? — Darownie dzieci upatrywały go. Czyżby krowę do lasu poprowadził?... Nauczyciel na prośby ich poszedł z nimi do lasu; lecz i tu nie było ani Pawelka, ani krowy.

Co się z nimi stało? Skierowano się w stronę chaty staruszki.

Ach, wielki Boże! Jakiż lament tu zastali! Na stole stała miska z zacierkami, które już dawno ostygły; w izbie nie było nikogo. Dzieci pobiegły na podwórko i zastały babkę z wnukiem, stojącymi nad jęczącą, chorą Czarnulą. Babka zakryła twarz fartuchem, a Pawelek płacząc, najśłodszymi słowami przemawiał do chorego zwierzęcia.

Dzieci stanęły przestraszone.

— Co to się stało? — zapytał wreszcie Franio

— Czarnula zachorowała nam dzisiaj rano, — rzekł Pawelek, tak zasmucony, że zapomniał przywitać swych przyjaciół.

Elżunia łzy zaświeciły w oczach.

— Pewno zjadła coś niezdrowego, — odezwał się Karolek — ale może wyzdrowieje do jutra.

— Oj, nie wyzdrowieje! — westchnęła babka —

zjadła jakąś truciznę. Był tu już weterynarz i powiedział, że nasza krowa może do jutra nie dożyje.

— Ach! to byłoby okropne!

Dzieci zapomniały o kozach, myślały tylko o Czarnuli. Nie mogły jednak poradzić na ten kłopot; wyszły cicho z obórki. Szły do domu. Może ich tatuś co na to pomoże?

Smutny to był dzień dla Pawełka i jego babki.

Nazajutrz rano dzieci pobiegły do chaty, nie czekając na śniadanie. Niestety! Czarnula już nie żyła! Pawełek zaprowadził ich do obórki, gdzie biedne zwierzę leżało sztywne i martwe. Chłopczyk miał oczy zapuchłe od płaczu; babka nie płakała wprawdzie, lecz była tak smutna, że i dzieci płakać zaczęły.

— Biedny Pawełku, — mówił Franio — Czarnula była śliczną krową, ale przecież można inną krowę kupić!

— My nie mamy na to pieniędzy — odrzekł Pawełek — Czarnula była naszą podporą, żyliśmy z pieniędzy, zebranych za jej mleko. Teraz już nie mamy, oprócz tej chaty. Babka mówi, że będzie musiała iść do przytulku dla biednych.

Rozpłakał się, a i dzieciom łzy w oczach stanęły. Chłopcy spojrzeli na siebie i wyszli z chaty. Chcieli rodzicom powiedzieć i zaczęli prędko biec do domu. Wstrzymało ich dopiero wołanie Elżuni.

— Poczekajcie na mnie, ja nie mogę biec tak prędko, jak wy.

— Śpiesz się, Elżuniu, nie mamy czasu do stracenia, musimy poprosić tatusia, by dał Pawełkowi inną krowę — mówił Karolek.

— Ach tak! To będzie najlepiej.

Ojciec wysłuchał opowiadania dzieci, żałował bardzo babki i Pawełka, poczem dodał z westchnieniem.

— Nie mogę darować krowy. Niestety! nie jestem na to dość bogatym, jestem tylko dzierżawcą Kalinówki i nie stać mnie na to.

Dzieci posmutniały. Dnia tego lekcje szły im niesporo, nieustannie myślały o biednej babce i o Pawełku. Nic ich nie bawiło.

Po obiedzie przyszedł stangret, aby zaprządzić kozy do małego wózka, gdyż powoziku jeszcze nie odebrano. Próba udała się znakomicie. Kozy szły zwawo i słuchały rozkazów furmana. Toż to będzie uciecha, gdy przejadą się dzieci swoim powozikiem! Nikt w okolicy podobnego zaprzęgu nie posiadał.

Jednak, jakoś ta uciecha nie była tak wielką, jak im się dawniej zdawało. Zaledwie kozy odprowadzono do stajenki, radość znikła.

— Ach! gdyby te kozy można teraz zamienić na krowę — westchnęła Elżunia.

— Dobrzeby to było! — zawołał Karolek. — Mleko oddawalibyśmy Pawełkowi.

— Ale krowy do powozika zaprządź nie można — zauważył Franio.

— Gdybym mógł życie przywrócić Czarnuli, zgodziłbym się już nie mieć ani powozika, ani kóz! — zdecydował Karolek.

Dzieci popatrzyły na siebie, a Franio zawołał:

— To nie kupmy już kóz, tylko krowę. Dobrze?

— Dobrze, dobrze, a ty, Elżuniu, chcesz tego?

— Chcę, bardzo chcę! Jak to dobrze, że i wy tego chcecie.

— Czy tylko tatuś na to pozwoli? — odezwał się Franio. — Powozik już zamówiony.

— Biegnijmy do tatusia.

Wpadli do pokoju z takim pośpiechem i hałasem, że aż tatuś zapytał:

— Cóż to się stało?

— Chcemy prosić tatusia o coś bardzo ważnego. Drogi, kochany tatusiu, pozwól nam... nie odmawiaj — prosimy bardzo...

— Powiedzcież więc, czego chcecie?

— Chcielibyśmy kupić Pawełkowi krowę.

— A za co?

— Mamą pieniądze w skarbonce.

— To nie będziecie mieli kóz i powozu. Bo krowa to drogi nabytek!

— To nic nie szkodzi, tatusiu! Przedewszystkiem Pawełek musi mieć krowę. Od dzisiaj zaczniemy znowu oszczędzać, później kupimy sobie kozy.

— I owszem. Chętnie zgadzam się na kupno krowy, ale czy zastanowiliście się dobrze nad tem, abyście później swego postępku nie żałowały?

— Tak, tatusiu, wolimy obrócić te pieniądze na krowę dla Pawełka i jego babuni.

— Tylko niech nam tatko dopomoże, — mówił Karolek — my sami nie potrafimy kupić krowy.

— Skoro tak postanowiliście, więc polecę Wojciechowi, aby wam wyszukał nową Czarnulę.

Przywołano karbowego i wyłożono mu, o co rzecz idzie. Dzieci chciałyby dziś jeszcze złożyć swój dar Pawełkowi, lecz Wojciech oświadczył, że musi znaleźć nie byle jaką krowę, że na to trzeba poczekać do jarmarku, który za tydzień będzie w pobliskim miasteczku.

Tymczasem nadszedł właściciel kóz; ojciec przeprosił go za uczyniony zawód i oddał mu kozy.

Dzieci cichutko westchnęły, żegnając się z kozami. Pocieszała ich jednak przyszła radość Pawełka.

W chacie tymczasem było coraz smutniej, na każdym kroku brakowało Czarnuli. Stara babka siedziała na progu chaty bezsilna ze zmartwienia,

a Pawełek płakał co chwila.—Co oni teraz poczną? Babka taka stara, a on taki jeszcze mały! Nic nie może zarobić. Dla oszczędności, Pawełek postanowił jednego dnia nie jeść obiadu. Lecz wkrótce głód zwyciężył.

Ale co będzie, gdy babka wyda ostatnią dziesiątkę?... Z czego będą żyli?...

Dzieci ze dworu, czekając na krowę, przez parę dni nie przychodziły. A może go już opuściły i nie zobaczy ich więcej?... Tak myślał Pawełek.

Tymczasem Wojciech znalazł odpowiednią krowę, która dawała dużo mleka i dla czarnej sierści nosiła także nazwę Czarnuli. Była to uroczysta chwila, gdy Karolek otworzył skarbonkę, Elżunia wyjęła z niej pieniądze, a Franio wyliczył zapłatę za krowę.

Na dziedzińcu stała już kupiona krowa i od czasu do czasu rykiem swoim zdawała się rzucać pytanie: ...Co z nią zrobią? Gdzie ją zaprowadzą? W czyje ręce się dostanie?

Krowa kosztowała dużo pieniędzy, jednak zostało ich jeszcze trochę. Elżunia zauważyła wtedy, że możnaby jeszcze kupić tak upragnioną przez Pawełka obrozę i klekotkę.

Bracia ucałowali ją za myśl tak szczęśliwą. Czy tylko dosyć pieniędzy zostało?... Wojciech uspokoił ich obawę, zaręczając, że dostaną śliczną obrozę i jeszcze wszystkiego nie wydadzą.

— Moglibyśmy kupić skopek do mleka! — zawołała Elżunia.

— Owszem, kupimy i skopek. To się dopiero Pawełek będzie cieszył z tej nowej Czarnuli!

Tatusz pozwolił dzieciom pojechać do rymarza po obrozę, a gdy odjechały, rzekł do mamy:

— Cieszy mnie bardzo, że dzieci mają dobre serce. Byłbym sam pomógł tej biednej kobiecie, lecz chciałem, aby dzieci poznały przyjemność i zadowolenie, sprawione dobrym uczynkiem; przed zimą trzeba będzie posłać tej biednej kobiecie furkę siana.

Nigdy dotąd dzieci nie czuły takiego zadowolenia, nie miały takiej uciechy, jak wtedy, gdy już zgromadziły wszystkie swoje dary.

Rodzice i dziadkowie stanęli na ganku; cała służba też wybiegła, by popatrzeć, jak dzieci wyruszą ku chacie Pawełka; nawet psy, kury i kaczki płątały się po dziedzińcu, jak gdyby i one wziąć chciały udział w tej uroczystości.

Uszykował się pochód: furman podjął się prowadzenia krowy, po bokach szli chłopcy, obciążeni każdą wiązką siana, na końcu zaś szła Elżunia ze skopkiem w rączkach, a wreszcie dziewczka z koniczyną. W tym porządku minęli bramę i przeszli przez wieś, w końcu której stała chatka Jakóbowej.

Staruszka modliła się przy oknie. Naprzeciw niej siedział Pawełek, zajęty pisaniem. Myślał o nie-

żyjącej Czarnuli, i na papier padła duża łza z jego oczu, co wraz z mokrym jeszcze atramentem utworzyło brudną plamę.

Posłyszał on dźwięk klekotki i spojrzął przez okno. Zobaczył krowę, zupełnie do Czarnuli podobną, dwie ruchome wiązki siana i Elżunię ze skopkiem. Spoglądał na to wszystko z niewymownym zdziwieniem.

Naraz wszyscy stanęli przed chatą, a krowa ryczała, jak gdyby z żądaniem, by jej drzwi otworzono.

— Babuniu,— zawołał Pawełek — niech babcia spojrzy, co to znaczy, toż to dzieci ze dworu!

Babka także podniosła głowę i patrzyła; oboje nie rozumieli tego widoku.

Wtem usłyszeli wołanie:

— Pawełku! Pawełku! wyjdź i wpuść krowę. Czy nie poznajesz Czarnuli? — wołały dzieci.

Jakóbową pierwsza oprzytomniała.

— Pawełku, wybiegnij na dwór i otwórz furtkę, wołają cię przecież!

Posłuchał babki i wybiegł do dzieci; ale w tej chwili Karolek wsunął mu w rękę sznurek, przywiązany do obroży krowy.

— Masz twoją Czarnulę, zaprowadź ją do obórki. Dajemy ci ją wraz z sianem i koniczyną.

Pawełek osłupiał; nie rozumiał prawie, co do niego mówiono. Czy to był sen? Czy jego krówka ożyła?...

Jakóbową zrozumiała lepiej rzecz całą. Złożyła ręce, jak do modlitwy, i ze łzami w oczach zawołała:

— Pan Bóg wysłuchał prośb moich i zesłał nam pociechę i pomoc. A niechże Najwyższy wynagrodzi wam waszą dobroć, moi drodzy państwo!

Franio i Karolek przygnieceni ciężarem siana, nie bardzo mogli się ruszać; mówić za to mogli, ile chcieli, co też i czynili.

Nareszcie zrozumiał i Pawełek, co się działo koło niego; z okrzykiem radości przywiązał krowę do słupka i uwolnił braci od siana.

— Podoba ci się Czarnula? piękna, nieprawdaż? Kupiliśmy ją za pieniądze, zbierane w skarbonce — wołały dzieci jedno przez drugie.

Pawełek nie mógł głosu wydobyć z powodu wielkiego wzruszenia.

W końcu zaczął dzieciom całować rączki, dziękując ze łzami w oczach.

— Jakaż to pyszna krowa! — mówiła Jakóbową.

— A klekotka? Babciu, czy babcia jej nie widzi? — wyszeptał wnuczek.

Babcia zaraz krówkę wydoiła i rodzeństwo musiało wypić po szklance mleka, potem kosztowała je dziewczka i pił furman.

Wszyscy jednogłośnie uznali, że równie dobrego mleka nie ma na całym świecie.

Gdy wreszcie dzieci wróciły do domu, opowiedziały rodzicom o radości Pawelka i Jakóbowej.

— Nigdy jeszcze nie byłem tak bardzo szczęśliwy, nawet na Gwiazdkę nie czułem takiego zadowolenia,— mówił Franio — a to wszystko przez ciebie, nasza skarbonko, że miałaś w sobie tyle pieniędzy!

— Prawda — potwierdził Karolek, ale i dziadzio i tatuś byli tak dobrzy, że nam pomagali.

— Odtąd będę jeszcze oszczędniejszym — mówił Franio.

— I ja także,— zawołała Elżunia — a gdy znowu nazbieramy dużo pieniędzy, poszukamy jakiego biednego człowieka i pomożemy mu.

— Tak zrobimy! — zgodnie zawołali bracia.

Dnia tego rodzeństwo później niż zwykle udało się na spoczynek; ciągle rozmawiali o Pawelku i o krówce.

Nazajutrz po przebudzeniu, pierwsza rozmowa ich była o Pawelku i jego babce, którzy odtąd żyli szczęśliwi i o byt swój spokojni; a ich wdzięczności dla rodzeństwa opisać nie jesteśmy w stanie.



DZIEWCZYŃKA I LALKĄ.

— Patrz, Zygmusiu! — wołała dziewięcioletnia Halinka — jaką śliczną lalkę przywiozła mi ciocia z zagranicy!

— Pokaż! — rzekł Zygmus, o trzy lata starszy od siostry.

Chłopczyk nosił już mundurek gimnazjalny, był więc wielką powagą w oczach dziewczynki.

— Tylko mi jej nie popsuj, mój Zygmusiu! — prosiła Helenka.

— Mogę jej nawet wcale nie oglądać.

— Bo tamtą lalkę, tę krakowiankę, rzuciłeś raz na stół i nos jej rozbiłeś. Pamiętasz?

— Nie wielka szkoda! Jestem chłopcem i nie mnie lalki nie obchodzą.

— Ale spójrz, jak ona ładnie oczy zamyka, jakie ma śliczne włoski.

— Śliczne włosy!.. z konopi. Oczy zamyka, bo

ma w środku umieszczony odpowiedni mechanizm. Daj, to ją rozpruję i zobaczę, co tam jest w środku.

Ale dziewczynka uciekła, wołając:

— Nie chcę! nie chcę! Nie dam lalki! Nie dobry jesteś.

Zygmus nie myślał o gonieniu siostry i pozostał na ławeczce pod kasztanem, klejąc wielkiego latawca z żółtej i niebieskiej bibułki. Halinka zaś poszła do garderoby, pokazać pokojówce Franusi swoją nową lalkę; potem pobięła do gospodyni Michalskiej.

— Moja Michalsiu, proszę zobaczyć, co to ja dostałam! — wołała.

— Śliczna lalka! A od kogoż to Halinka ją dostała?... Od pani Lińskiej?

Pani Lińska była to ciotka Halinki.

— Tak jest. Dostałam także książkę z powiastkami, ale ja wolę lalkę.

— Przecież nie można bawić się ciągle lalką, a w tej książeczce są pewno ciekawe i ładne powiastki?

— E!... Dosyć mam już tego czytania przy lekcji.

Michalska pokręciła głową.

— Mój Boże! — wyrzekła — są takie dzieci, które chciałyby się uczyć czytać i pragną nauki, a ich rodzice są za biedni, aby mogli je do szkoły posyłać. Dla takich dzieci książka z powiastkami, to byłby

dopiero podarunek! Rodzice Halinki trzymają nauczycielkę, na książki nie żałują, ale cóż kiedy Halince podobno nauka nie w głowie...

Halinka nic na to nie odpowiedziała, tylko odeszła rozgniewana.

— Ta Michalska miesza się do mojej nauki, — co jej do tego? Niech pilnuje swoich kur i kaczek.

Gdy tak szła nadąsana z lalką na rękę, spotkała mamę, wychodzącą z domu.

— Cóżżeś taka nachmurzona, Halinko? — spytała mama.

— Moja mamusiu, poszłam pokazać lalkę Michalskiej, a ona zaczęła mi prawić nauki.

— Nauki?... Nie rozumiem. Powtórz mi, co ci powiedziała.

— Że... że... powinnam czytać, a nie bawić się lalką.

Mama spojrzała na dziewczynkę.

— Halinko, — rzekła — czego to ja tak bardzo nie lubię w tobie?

Dziewczynka spuściła głowę. Wiedziała dobrze, że jej mama nie znosi kłamstwa i że w jej słowach dostrzegła fałsz. Pochwyliła rękę mamy i przycisnęła ją do ust, błagalnie patrząc na nią.

— To nie zupełnie tak było, jak mówiłam, — szepnęła — poczem powtórzyła już dokładnie swoją rozmowę z gospodynią.

— Michalska miała słuszość — odpowiedziała mama. — Ty chciałabyś, aby ci nauka sama wchodziła do głowy, czem mnie bardzo martwisz. Spójrz w około, Halinko! czy kto u nas nie pracuje? Tatuś pilnuje gospodarstwa, ja również. Panna Bielawska uczy ciebie, Zygmus kształci się w szkole, Michalska pilnuje czeladzi, drobiu, nierogacizny; każdy ma jakieś zajęcie, pracują nawet woły, konie i te ptaszki, za którymi z taką przyjemnością wodzisz okiem.

— Cóż one robią, mamusiu?

— Muszą wybudować sobie gniazdko, muszą szukać pożywienia dla siebie i dzieci. A czy myślisz, że to mała robota ulepić gniazdko? Każde źdźbło mchu, siana lub słomy, każdy kawałek gałązki ptaszek musi znaleźć, i w dziobku nieraz zdaleka przynieść do miejsca, które sobie upatrzył na gniazdko. A jak on to mądrze popłące i zmiesza z gliną, aby z tych kawałeczków ułożyć mocne ściany! musi też silnie przyczepić swój domek do gałęzi drzewa, krzaku lub muru, aby mu go wiatr nie zrzucił.

— Prawda! — zawołała dziewczynka, — ja raz nawet widziałam i miałam w ręku wróble gniazdo, a nie pomyślałam, że to przecież ciężka praca być musi dla takiego małego ptaszka uwicie gniazdko.

— Otóż, moja Halinko, gdybyś więcej zastanawiała się nad tem, co widzisz, z pewnością nie narzekałabyś tak na nudy, jak ci się to czasem zdarza.

Podczas tej rozmowy mama z Halinką doszły do ganku, na którym wygrzewał się Maciuś, duży buri kot z białą łatką między uszami.

— A Maciuś co robi, mamusiu? — spytała Halinka.

— Myszy łowi, a gdyby nie był oswojony i żył dziko jak lisy, wilki, zające, to musiałby szukać dla siebie jedzenia i to byłoby też dla niego pracą. Tylko nasz mopsik Fidelek nie robi, bo teraz oduczył się nawet ostrzegać szczekaniem, że ktoś obcy nadchodzi. Lecz czy chciałabyś być podobną do mopsika?

— Nie, mamusiu!

— Jednak przyznaj, że ty i Fidelek najmniej z nas wszystkich macie chęci do pracy.

— Ach, mamusiu, proszę tak nie mówić! — wołała dziewczynka, przyciskając do ust rękę mamy.

— Wierzaj mi, Halinko, że wolałabym powiedzieć: moja córeczka jest niezmiernie pracowita. Czy tak kiedy będzie?

— Będzie, mamusiu, z pewnością będzie!

— Halinka znowu coś obiecuje — odezwał się tatuś, który właśnie wrócił od żniwa i wyszedł z domu na ganek.

— To między nami tajemnica, uśmiechnęła się mama. — Halinko, powiedz Janowi, by podał obiad.

Wkrótce podano wagę i mama rozlała na tale-

rze zupełną szczawiową. Przy stole siedzieli rodzice Halinki, ciocia Lińska, panna Bielawska nauczycielka, Halinka i Zygmus.

Ciocia przepędziła kilka tygodni w Szwajcarii przed przyjazdem do brata i opowiadała różne ciekawe rzeczy o tamtejszych zwyczajach. Mówiła, że Szwajcaria jest krajem bogatym, gdyż mieszkają w nim ludzie bardzo pracowici.

Halinie zdawało się, że mama spojrzała na nią z pod oka; pod wpływem tego spojrzenia dziewczynka zarumieniła się.

Dalej, słyszała Halinka, że w Szwajcarii nie ma wcale żebrzących, gdyż każdy biedny, który nie może pracować, czy to z powodu choroby, czy też kalectwa, dostaje utrzymanie z kasy miejskiej, jeśli mieszka w mieście; lub z kasy gminnej, jeśli mieszka na wsi.

Szczególniej jednak Halinkę zajęło opowiadanie cioci o wielkiej zabawie dla małych dzieci, chodzących do szkół początkowych.

— W mieście Genewie — mówiła ciocia — widziałam taką zabawę. W ogrodzie publicznym ustawiono wielkie stoły i dla każdego dziecka przygotowano nakrycie, a na niem jabłka, pierniki, szklaneczkę lekkiego wina, orzechy, czekoladę. W każdej szkole zebrały się dzieci i z muzyką na czele szły stamtąd parami do ogrodu. Tam się bawiły w róż-

ne gry, śpiewając przy tem różne pieśni. Po uczcie, gdy się tylko ściemniło, urządzono fajerwerki i ognie bengalskie ku wielkiej radości uczniów i uczennic. Ich rodzice i krewni przyglądali się tej uciesze. Możecie sobie wyobrazić, ile tam było śmiechu i gwaru. Dopiero około jedenastej wieczorem rozeszły się dzieci do domów, naturalnie pod opieką starszych.

— Ciociu, — spytała Halinka — czy tam często są takie zabawy?

— Tylko raz na rok, na początku lipca, po egzaminach.

— Ja zaprosiłbym na taką zabawę tylko dzieci, które się dobrze uczyły! — rzekł Zygmus.

— To też bądź pewny, — odezwał się ojciec — że na tej dorocznej zabawie, dzieciom, które pilnie pracowały, jest daleko weselej, aniżeli innym.

— O tak! — potwierdziła ciocia — przytem najpierwsi uczniowie są wyróżniani, gdyż dostają podarunki, bądź to książki, bądź też zabawki, a biedniejsi dostają nawet ubranie.

— A uczennice? — spytała Halinka.

— Pilniejsze także dostają nagrody.

Po obiedzie Halinka zwykle szła do ogrodu i bawiła się z Zygmuśkiem w różne gry; dzisiaj jednak poszła do pokoju szkolnego i stanęła przy oknie zamysłona. Bardzo ją zmartwiło porównanie z Fidelkiem; bo że mały piesek pokojowy nic nie robi, cóż

w tem dziwnego? Zresztą Fidelek szczekaniem może ostrzedz przed złodziejem; ona wtedy i zawołaćby nie potrafiła, bo pewno z wielkiego strachu głosu wydobyćby nie mogła.

Na łóżku dziewczynki leżała nowa lalka, Halinka wzięła ją na ręce i tak do niej zaczęła przemawiać:

— Widzisz lalczko, wszyscy są czemś zajęci, wszyscy muszą pracować, więc i my także weźmiemy się do roboty, żeby nas nie przyrównywali do Fidelka. Wszystko, co panna Marja opowie mi na lekcji, ja ci powtórzę, a gdy czego nie zapamiętasz, to postawię cię do kąta za karę. Ja już jestem za duża, aby mię w kącie stawiano, ale ty jesteś najmłodsza z moich lalek, więc trzeba z tobą postępować tak, jak z małym dzieckiem. Rozumiesz?...

Ale lalka milczała sztywna i nieruchoma, nawet nie drgnęła pod groźbą kary.

— Gdy będziesz grzeczna, dam ci konfitur i owoców.

Lalkę i ta obietnica nie wzruszyła. Patrzyła otwartymi oczami na swą opiekunkę, jak gdyby zapytywała:

— A ty co robisz, czy będziesz taką, jaką mnie być każesz?

— Widzisz, nie nie odpowiadasz, jesteś mały

próżniak! — rzekła dziewczynka do lalki i położyła ją znowu na łóżku.

— Leż sobie teraz, — rzekła — ja pójde zobaczyć, czy Zygmus skończył latawca.

Pobiegła do ogrodu, lecz Zygmutia tam nie zastała, wróciła więc do panny Marji, która siedząc na ganku, szyla sobie bluzkę.

— Proszę pani, — zaczęła po chwili Halinka — dlaczego to każdy musi pracować?

Panna Marja uśmiechnęła się i złożywszy robotę, zapytała:

— Moja Halinko, czy kucharz Jakób pracuje, gotując obiad lub kolację?

— Pracuje; w lecie to musi być bardzo nieprzyjemnie stać tak ciągle przy ogniu.

— A dla czego on pracuje?

— Gdyby nie gotował, to musielibyśmy chyba jeść same owoce, surowe mleko, albo gotowalibyśmy sami. Przecież surowego mięsa niktby nie jadł.

— Jakób zatem pracuje dla nas, tak?

— Tak, proszę pani.

— A czy Jakób nie za to nie dostaje?...

— Rodzice płacą mu pensję i dają ordynarję.

Już wiem, dla czego Jakób pracuje! Aby mieć utrzymanie dla siebie i dla swej rodziny.

— Tak. A czy myślisz, że twój tatuś nie pracuje?

— Owszem, wiem, że bardzo pracuje, rano wstaje, dogląda żniwiarzy i kosiarzy, pilnuje oraczy i tych ludzi, którzy młóćą zboże; potem w dużych księgach pisze rachunki. Mamusia nieraz mówi, że tatuś na nas wszystkich pracuje.

— Powiedz mi, Halinko, jak ci się zdaje, czy też tatuś nie uczył się wcale gospodarstwa?

— Pani ze mnie żartuje,— zawołała Halinka — jeszcze wczoraj przy herbacie tatuś wspominał o szkole... ag... ag... nie mogę nigdy zapamiętać, jak tatuś tę szkołę nazywa.

— Agronomicznej... — odpowiedziała panna Marja.

— Ach, tak! agronomicznej, — powtórzyła Halinka.— Już domyślam się, dlaczego mnie pani o to pyta — dodała po chwili.— Dlatego, abym wiedziała, że każdy musi najpierw nauczyć się, jak ma pracować.

— Bardzo dobrze mnie rozumiałaś.

— To niech mnie pani pocałuje — prosiła Halinka.

— I owszem; a jeżeli od jutra zaczniesz się uczyć porządnie, z jakąż to radością uściskamy cię wszyscy. Dzisiaj z powodu przyjazdu cioci masz wakacje, baw się więc wesoło, ile zechcesz, jeżeli już wszystkie lekcje dobrze umiesz.

— Proszę pani, jeszcze nie zajrzałam do geografji, ale zaraz nauczę się jej doskonale.

— Halinko, Halinko! — zawołał Zygmus z głębi ogrodu, chodź, pokażę ci latawca, już skończony!

— Przyjdę później, teraz nie mam czasu.

Poszła do szkolnego pokoju i z taką pilnością wzięła się do nauki, że po kwadransie umiała lekcję wybornie. Złożyła książkę i poskoczyła ku lalce.

— Widzisz, ty spałaś sobie spokojnie, a ja tymczasem uczyłam się geografji. A ty co robiłaś, czy uczyłaś się? Czy wiesz, gdzie leży Atlantyk? a morze Północne? a gdzie jest morze Bałtyckie? Jesteś jeszcze taka głupiutka, że pewno nie rozumiesz nawet, co to jest morze! Wstawaj teraz, pójdziemy do Zygmunia!

Wzięła lalkę na ręce i zaniósła ją do ogrodu.

— O! jedna lalka niesie drugą lalę! — przywietał ją braciszek.

— Dlaczego... zaczęła płaczliwie Halinka i zawołała: — Dla czego nazywasz mnie lalką?

Chciała już się rozgniewać, lecz zapanowała nad sobą i rzekła po chwili spokojniej.

— Nie jestem lalką, lecz dziewczynką. Lalka nie myśli, nie czuje, nie żyje, nie może uczyć się, ani pracować.

— Tak, — przerwał Zygmus — między tobą a lalką jest taka różnica, że ona nie może pracować, a ty do pracy nie masz chęci.

— Zobaczymy! — odparła siostra.

Spokój Halinki zadziwił brata.

— Wiesz, że dzisiaj masz jakoś więcej rozsądku. Dotąd każdą uwagę przyjmowałaś płaczem, albo tupiałaś nogami z gniewu; skoro jednak jesteś taka spokojna, to już ci nie będę dokuczał.

— I nie nazwiesz mnie już nigdy lalką?— spytała.— Bo widzisz, ja nie chcę, żeby mnie nazywano, ani lalką, ani próżniakiem i chcę się dobrze uczyć i pracować, jak wszyscy.

— Wiwat Halina! brawo!— zawołał Zygmunt, chwytając siostrę za ręce i wywijając z nią młynka. Ot tak, to lubię!

— Puść, bo mi się w głowie kręci!— wołała dziewczynka.

— Powiedz mi,— rzekł zatrzymując się wreszcie— skąd w tobie taka zmiana?

Halinka powtórzyła mu rozmowę swą z Michalską i jak została porównana do Fidelki, co sprawiło jej wielką przykrość. Postanowiła więc zmienić się i pracą stać się podobną do rodziców, do panny Marji i do Zygmunta, a nie do martwej lalki lub do Fidelki.

— Teraz — kończyła — będę się pilnie uczyła, nie będę się ciągle bawiła moją laleczką; nauczę się szyć dla niej bieliznę, sukienki, aby potem umieć szyć dla innych, dla mamy, dla siebie.

— W tym celu przywiozłam ci też tę dużą

lalkę, — rzekła ciocia Lińska, która niepostrzeżona przez dzieci, chwilę już stała za niemi. Kochana moja Halinko, wierzę, że będziesz odtąd pracowitą dziewczynką, a twoja lalka zawsze czysto i porządnie ubrana.

To też odtąd Halinka nie dała się nikomu wyprzedzić w pilności i była prawdziwą pociechą rodziców.



Co dać mamie na imięiny?

— Alinko, — mówiła dwunastoletnia Brońcia do swej siostrzyczki — czemu się nie uczysz lekcji? Już wpół do piątej dochodzi! Za pół godziny przyjdzie mama i zawoła nas na podwieczorek; potem pojedziemy do lasu, a ty jeszcze nie umiesz słówek niemieckich i nie skończyłaś tłumaczenia.

Lecz Alinka nie wielką uwagę zwracała na słowa siostry i w dalszym ciągu siedziała na krześle, z głową opartą o poręcz; rękami zaś wygrywała coś na stole; miała przytem minkę zadowoloną.

— Właśnie myślę o tem, jak tam będzie pięknie w lesie, i to mi przeszkadza w uczeniu się słówek — odpowiedziała; — albo to co trudnego słówka! przeczytam raz, drugi, przed lekcją i już.

— Rzeczywiście «i już,» bo na drugi dzień już wszystko zapomniane!

— Właśnie, że nie zapomnę!

— I owszem, nic nie mam przeciwko temu. Ale teraz nie przeszkadzaj mi, bo muszę jeszcze powtórzyć geografję.

Alinka wzięła do ręki kajecik z utrapionemi słówkami: die Erde — ziemia, die Luft — powietrze, der Wind — wiatr — powtarzała półgłosem. Przeczytała kolejno wszystkie słówka (było ich piętnaście) raz drugi i trzeci; ale znać było, po jej minie, że nie wie wcale, co czyta.

— Ach! — odezwała się znów Brońcia, ze źdźwieniem odrywając oczy od książki, wiesz Alinko, że we Francji, koło miasta Tours, są wielkie wzgórza kredowe, i że biedni ludzie wydrążają sobie nieraz całe mieszkania w pokładzie kredy.

— Doprawdy? — zawołała Alinka, rzucając kajecik. — Znalazłaś tę wiadomość w geografji?

— Przeczytaj, jeśli nie wierzysz.

— A to ciekawe! Ależ ta kreda kurzy się i zasypuje im oczy, wala ubranie.

— W książce nic o tem niema, lecz gdyby tak było, to pewno nawet najbiedniejszy człowiek nie chciałby tam mieszkać.

Umilkła i zaczęła dalej się uczyć.

Przez otwarte okna doleciał brzęk talerzy rozstawianych na stole, co skłoniło Alinkę do pilnego kończenia przekładu. Brońcia tymczasem zamknę-

ła książkę i w braku lepszego zajęcia, spojrzała na kajet młodszej siostry.

Spojrzała i rozśmiała się, przeczytawszy takie zdanie:

«Julcia siedziała na małym i kwiatki.

— Co to znaczy? Co ty piszesz?...

— Ach, moja droga, — z pewną obrazą w głosie odezwała się Alinka — zaraz tak się śmiejesz! Nie mam już czasu na szukanie wyrazów w słowniku, więc zostawiam puste miejsca. Po podwieczorku, nim konie zajdą, przybiegnę tutaj i skończę.

— Ale cóż znaczy to małe...

— Nie rozumiejąc rzeczownika, nie mogę wiedzieć jakiego jest rodzaju przymiotnik, dopiszę *y*, czy *a*, a może *e*.

— Moja Alinko, ty zawsze wszystko na później odkładasz. Zobaczysz, że panna Marja znów będzie jutro niezadowolona z ciebie.

— Dzieci, chodźcie na podwieczorek! — dał się słyszeć głos mamy.

Obie dziewczynki były głodne; chętnie posłuchały wezwania. Mleko kwaśne zjadły z apetytem; Alinka poprosiła nawet o drugą porcję, lecz nagle łyżka wypadła jej z ręki.

— Co ci jest? — spytała panna Marja. — Przestraszyłaś się czego, Alinko?

W istocie przestraszyła się, gdyż przypomniała sobie, że nie odrobiła jeszcze dwóch zadań arytmetycznych. Jedno skończyła przed obiadem, resztę zostawiła na później.

— E... — rzekła do siebie — zadania te odrobię, w przeciągu dziesięciu minut będą gotowe, skończę je zaraz po obiedzie, a tymczasem użyję trochę swobody.

Pobiegła do ogrodu: obejrzała róże, które bardzo lubiła, pozrzuciła z kwiatków chrząszcze, i na tem zeszedł jej cały kwadrans z szybkością błyskawicy.

Po obiedzie poszła z Brońcią na koniec ogrodu, nad rzeczkę, zobaczyć rybki, które uwijały się w przeczystej wodzie, chciała choć jedną z nich złowić; położyła się na trawie i wsunęła rękę do wody, ale wszystkie rybki gdzieś zniknęły.

— Wiesz, — rzekła do Brońci — poproszę tatusia, aby mi kupił wędkę, wtedy nałowię mnóstwo rybek.

— A potrafisz usiedzieć spokojnie choćby dwie minuty? Gdy zaczniesz kręcić się z wędką, to nie złowisz.

Myśl o wędce tak zajęła Alinkę, że zupełnie zapomniała o arytmetyce. Wróciły do domu.

Wtem przypomniała sobie, że ma niezadługo jechać do lasu.

— Muszę zaraz zabrać się do lekcji,— rzekła do siebie; — ale myśl o zabawie w lesie tak ją zajęła, że nauka wcale do głowy leżeć nie chciała.

Alinka bowiem była roztrzępana i miała zły zwyczaj myślenia o czem innem, tylko nie o tem, co w danej chwili robić miała. Gdyby nie te dwie wady, nauka przychodziłaby jej z wielką łatwością; mówiła nawet nieraz, że bardzo lubi się uczyć.

Na nieszczęście, gdy brała się do arytemetyki, miała właśnie ochotę uczyć się historii, albo pisać jakie tłumaczenie; przy historii znów myślała o geografji, przy gramatyce o rachunkach, słowem, zawsze miała jakieś przeszkody.

Zajadając drugi talerz mleka kwaśnego, żalowała właśnie straconego czasu; ale żal był zapóźny, bo już furman Walenty zajechał i trzeba było włożyć kapelusz i jechać. Rozmyślała, jak będzie mogła używać wesoło spaceru, skoro nieodrobione lekcje ciągle stać jej będą w pamięci.

— Alinko! — pytała Brońcia — czy wolisz jechać na kozle obok Walentego teraz, czy też z powrotem.

— Wszystko mi jedno! — odpowiedziała.

— No, to ja siadam na koziele; gdy wyjedziemy na drogę — dodała, zwracając się do furmana — to mi Walenty da lejce, będę powoziła, dobrze?

Stary furman uśmiechnął się pobłażliwie.

— Dobrze, niech tylko panna Brońcia nie wywróci, bo musiałbym bryczkę podnosić, i wszyscy mogliby się potłuc.

— O!... czy ja kiedy wywróciłam?

— Panna Brońcia to niedługo i w cztery konie będzie powoziła! — żartował furman.

Podczas tej rozmowy, mama z nauczycielką wsiadły do bryczki, umieściły między sobą Alinkę i tęgie gniade konie ruszyły.

Wioska, w której mieszkali rodzice dziewczynek, leżała w Lubelskiem i zwała się Brzezinka; koło białego dworu ciągnął się spory ogród kwiatowy z klombami lip, kasztanów i grabów; po za nim był ogród warzywny i owocowy, do którego tak Brońcia, jak i Alinka lubiły zaglądać, gdy tylko zaczęła się pora owoców. Z boku stały zabudowania folwarczne, wielkie stodoły, spichlerz murowany, stajnia, obora i owczarnia. Po za folwarkiem wzdłuż drogi, stały domy włościańskie, czysto wybielone, każdy z ogródkiem, w którym cień dawały grusze, jabłonie i śliwy, a później błyszczały jaskrawe maki, nagietki i słoneczniki.

Droga do lasu szła przez wieś. Tu i owdzie kłaniały się jadącym jasnowłose dzieci, bawiące się przy drodze, a z podwórzy chat wybiegały czarne, żółte i laciaste Burki, Kruczki i szczeptały zajadle.

Brońcia witała wzajemnie dzieci, znała je bo-

wiem dobrze; psy zaś drażniła końcem bata, który trzymała w ręku.

— A pójdziesz, Bielas! — wołała. — Szczekaj, szczekaj jeszcze głośniej, Burek, i cóż ci z tego przyjdzie?... Czegoż boisz się tego bata, przecież cię nie uderzę! — perswadowała pieskom.

— Co to Alinka taka poważna i zamysłona? — zapytała mama.

Istotnie dziewczynka siedziała milcząca, co, przy jej żywym usposobieniu, było dość szczegółne.

— Te psy tak hałasują — odrzekła.

— Mamo, ja powożę — zawołała z kozła Brońcia.

— Niech tylko Walenty dobrze uważa, — odpowiedziała mama — bo ja nie bardzo wierzę w twoje furmańskie zdolności, Brońciu!

— Teraz trochę na prawo... a teraz na lewo trzeba skrócić — kierował dziewczynką Walenty.

Gdy już wjeżdżali do lasu, mama kazała stanąć, i wszyscy wysiedli, nawet Walenty; odprzągnął on konie i przywiązał je do bryczki.

Brońcia zaczęła zaraz zbierać macierzankę, przy tem nuciła wszystkie piosnki, jakie jej na myśl przyszły.

Alinka także rozweseliła się trochę.

— Patrz, jakie piękne kwiatki, zrobię z nich bukiet — rzekła Brońcia, pokazując jej pęk zerwa-

nych dzwonek. — Ale, siostrzeczko, czy skończyłaś swoje tłumaczenie?

Brońcia zrobiła to zapytanie z troskliwości, lecz Alinka zachmurzyła się.

— Nie chciałam zrobić ci przykrości, — odezwiała się znowu starsza siostra — nie martw się teraz, jutro rano przed śniadaniem pomogę ci, i może zdążysz douczyć się lekcji.

Jednak niespokojne sumienie odbierało humor dziewczynce.

— Dzieci, nie oddalajcie się od nas — wołała mama, która usiadła przy pniu starej sosny i rozmawiała z panną Marją.

— Nie, mamusiu, pójdziemy tylko do tej leśniczyny, zobaczyć, czy dużo będzie orzechów.

— Alinko, — spytała Brońcia — co ty dasz mamie na imieniny?... Już jest koniec czerwca, a św. Anny wypada dwudziestego szóstego lipca. Panna Marja wyjedzie za trzy tygodnie na wakacje do rodziców, wtedy będziemy prawie ciągle z mamą i trudno nam będzie zająć się czemkolwiek w tajemnicy przed nią.

— Prawda! A ty co dasz mamie?

— Ja mam u tatusia rubla zarobionego przy grabieniu siana, pamiętasz, kiedy panna Marja zachorowała na influencę i nie mogłyśmy mieć lekcji?

— Pamiętam. Przez pięć dni grabiłyśmy po cztery godziny dziennie. I ja także uzbierałam trochę.

— Otóż poproszę tatusia, albo lepiej pannę Marję, by mi kupiła w Lublinie batystu białego i koronki, chcę uszyć taką samą chusteczkę do nosa, jak ta, którą mumusia w zimie zgubiła.

— Aha! A ja co zrobię? Nie umiem jeszcze szyć tak pięknie, jak ty.

— Może wyszyłabyś co na kanwie?

— W przeszłym roku wyszyłam poduszeczkę do szpilek. Pantofli kanwowych mama nie lubi...

— Wiesz Alinko, — doradziła Brońcia — uszyj mamie fartuszek do gospodarstwa, mama zawsze kładzie fartuszek, idąc rano do spiżarni i do kuchni — to przecież potrafisz!

— Ach! dobrze, dobrze, uszyję dwa fartuszki — zawołała Alinka, i pędem pobiegła do panny Marji; tak jej pilno było poprosić nauczycielkę o kupno białego perkalu.

W obecności mamy nie mogła jednak mówić.

— Panno Marjo, — zaczęła — może pani zobaczyć, jak dużo orzechów jest na leszczynie!

W ten sposób chciała odciągnąć na bok nauczycielkę; lecz mama, która nie mogła domyśleć się tego podstępku, wstała i rzekła:

— I ja pójde obejrzeć orzechy, przejdziemy się trochę.

Alinka pochwyciła rękę nauczycielki i gdy zostały trochę w tyle za mamą, szepnęła:

— Panno Marjo! Moja kochana, droga panno Marjo, czy kupi mi pani w Lublinie białego perkalu? Ale to sekret!

— Na co ci biały perkal? — spytała nauczycielka.

— Na fartuszki dla mamy, chcę dać mamie prezent na imieniny, ale niech pani o tem nie mówi nikomu.

— Dobrze, moje dziecko; w niedzielę mam pojechać z waszą mamą do Lublina, to załatwię sprawy twoje i Brońci.

— Ale pani nie powie mamie?

— A czy zdradziłam kiedy twoją tajemnicę?

— Ach, nie! Przepraszam panią, ja tylko tak się boję, aby mama o tem nie wiedziała.

— Już tylko ty się nie wygadaj! — z uśmiechem pogroziła jej panna Marja.

— Cóż znowu!? Dziękuję pani za obietnicę.

— A teraz idź się bawić.

Dziewczynki biegały, goniły się, zbierały kwiatki, szukały poziomek i jagód; lecz potrzeba było wracać do domu, aby przyjechać, zanim tatuś powróci z pola na wieczерę.

Po powrocie, ledwie Alinka zdążyła zdjąć kapełusz, chciała zaraz rozłożyć kajet z rachunkami; lecz panna Marja przypomniała jej, że trzeba wprzód umyć ręce.

— Czy nie zrobiłaś jeszcze zadań? — spytała ze zdziwieniem, widząc kajet leżący na stole.

Alinka zaczerwieniła się i siadła do roboty, ale znów się zerwała.

— Proszę pani, zapomniałam, — szepnęła — ale zaraz skończę zadania.

— Zawsze to samo! Gdy nie siedzę przy tobie, nie pilnuję cię, nigdy lekcji nie przygotujesz porządnie.

Alinka spuściła oczy. Cóż mogła odpowiedzieć? Panna Marja miała zupełną słuszność.

— Idźże nareszcie i umyj ręce — rzekła nauczycielka.

Zaraz potem podano kolację. Tatuś rozmawiał z mamą o sprawach gospodarskich; oczy Brońci zmęczonej bieganiem po lesie, kleiły się do snu, to też zapytała panny Marji, czy może iść spać.

Alinka skorzystała również z przykładu siostry.

— Moja Julko, — prosiła Alinka służącej — która właśnie słała im łóżka, proszę mnie jutro wczesnie obudzić, koniecznie!

— Dla czegoż to panienka chce wstać tak wczesnie? obudzę o siódmej godzinie, gdybym wcześniej przyszła, panna Marja byłaby nie kontenta.

— Mogłaby Julka wejść cichutko o szóstej, panna Marja nie dosłyszy, a mnie bardzo na tem zależy!...

Brońcia bardzo prędko zasnęła, Alinka zaś przewracała się z boku na bok, bardzo z siebie niezadowolona. Pewnie jej coś spać przeszkadzało. Wzdychała i wyrzucała sobie, jak niemądrze dzień ten przepędziła; bo w czasie przeznaczonym na przygotowanie lekcji, myślała o spacerze, podczas spaceru znów o arytmetyce i o słówkach niemieckich. Teraz spać nie może, a jutro rano pewnie trudno będzie się jej obudzić, jeśli późno zaśnie!

— Jaka ta Brońcia szczęśliwa, wesola, spokojna, śpi sobie teraz w najlepszej!

Nareszcie i Alinka zasnęła.

Julka, pomimo jej prośby, obudziła ją o siódmej; dziewczynka wstała natychmiast, ubrała się prędko i przy pomocy Brońci zdołała jako tako odrobić pozostałe lekcje.

Teraz zajęły się dziewczynki myślą o imieninach mamy.

Jakie to one ułożą bukiety i czekać będą pod drzwiami, aż mamusia obudzi się, by pierwsze złożyć jej powinszowania. Potem Brońcia ofiaruje swoją chusteczkę, a Alinka fartuszki.

— Monogramu na chusteczce nie potrafię wyhaftować — żaliła się Brońcia, lecz panna Marja zaręczyła jej, że mama i tak ucieszy się jej robotą, byle chusteczka była czysto i porządnie uszyta.

Pokazało się, że Alince zabrakło pieniędzy na

perkal, lecz tatuś, dopuszczony do sekretu, dodał potrzebną drobną kwotę.

Panna Marja pojechała do Lublina, kupiła perkalu i powróciwszy, skroiła fartuszki.

Przez dwa dni Alinka po całe pół godziny spędzała nad szyciem, to jest wtedy, kiedy mama wychodziła do gospodarstwa.

Trzeciego dnia łowiono ryby, więc dziewczynka cały wolny czas spędziła nad stawem, z wujem Janem, który przyjechał do nich na wakacje.

Wuj Jan zawsze miał mnóstwo ciekawych rzeczy do opowiedzenia; przyjechał na krótko do Brzezinki, miał dużo pracy przed egzaminem, gdyż już w następnym roku kończył studia medyczne w uniwersytecie warszawskim.

Dziewczynki witały go zawsze z wielką radością. Opowiadał im tyle ciekawych rzeczy o roślinach, o zwierzętach, o kamieniach; urządzał im różne gry; a taki był zawsze wesoły i taki dobry dla swoich siostrzenic!

Alinka powróciła z połowu ryb zmęczona i w żaden sposób nie mogła zabrać się do roboty.

Nazajutrz wujek Jaś miał ulepić latawca, więc znów Alinka na szycie czasu nie miała, gdyż ofiarowała swoją pomoc wujowi przy tem zajęciu.

— Alinko, — mówiła panna Marja w jakiś tydzień później — Broncia już skończyła chusteczkę.

Patrz, jak ją pięknie i czysto uszyła, a ty nie skończyłaś jeszcze nawet jednego fartuszka!

— Ach, pani droga, mam jeszcze tyle czasu! prawie trzy tygodnie! Już gdy się zabiorę do roboty, to w przeciągu dwóch dni skończę. Teraz mamy jeszcze lekcje i... i...

— I co?

— I wujkowi Jasiowi muszę pomagać.

— Pan Jan pyta zawsze, czy nauczyłaś się już lekcji, a czy mu zawsze prawdę powiadasz, Alinko?

Dziewczynka zarumieniła się; widocznie, nie zawsze była w zgodzie z prawdą.

— Odnosicie wprawdzie korzyść, rozmawiając z wujem, lecz pamiętaj, że jeśli nie skończysz podarunku dla mamy, to będzie wielki wstyd! Po moim wyjeździe nie będziecie miały lekcji, więc nie zabraknie ci czasu ani na zabawy, ani na pogadanki z panem Janem. Chciałabym, abyś przy mnie wykończyła fartuszki; Julka musi je potem uprać, uprasować, a w twoją akuratność wierzyć nie mogę, szczególnie, jeśli cię nikt pilnować nie będzie.

Dziewczynka wzięła do serca słowa nauczycielki i panna Marja przed wyjazdem schowała do pudełka jeden fartuszek, już zupełnie gotowy.

Alinka zaręczała, że drugi równie dobrze uszyje.

— Widzi pani, — mówiła — ja to zrobię przez

dwa dni. Cóż to wielkiego? Przyszyć dwa kliny, obrębić, wszyć w pasek i obszyć koronką.

— Naturalnie, że to nic wielkiego; ale ty, Alinko, zapominasz o tem, że każda robota wymaga czasu. Lubisz każde zajęcie odkładać na później, i zawsze w końcu nie douczysz się czegoś, lub czegoś nie dorobisz.

Alinka czuła, że panna Marja ma zupełną słuszość.

— A ile ty zmartwienia sobie przysparzasz! — mówiła nauczycielka dalej — gdy nie umiesz lekcji, gdy nie spełnisz swego obowiązku, niepokoi cię wtedy sumienie, prawda? Zabawa ci nie idzie, nie możesz się bawić tak swobodnie i wesoło, jak Brońcia.

— Prawda — szepnęła Alinka. — Pani droga, ja się poprawię, jabym tak chciała się poprawić, ale to tak bardzo trudno!

— Ja wiem, że to trudno, ale przy dobrych i szczerych chęciach można wiele zrobić, lecz to nie pierwsza już twoja obietnica, która spełzła na niczym.

W tej chwili jednak Alinka szczerze myślała o poprawie.

Nazajutrz po wyjeździe nauczycielki wstała rano i przed śniadaniem cały jeden klin przyszyła.

Rano miała teraz najwięcej wolnego czasu, gdyż mama zajęta gospodarstwem domowem, nie często zaglądała do ich pokoju.

— Patrz, Brońciu, — wołała — cały klin przyszyłam! Po obiedzie przyszyję drugi, jutro obrębię i wszyję w pasek, pojutrze wezmę się do koronki i już!

Mówiąc to, podrzucała w górę robotę i skakała po pokoju z wielkiej uciechy.

— Bo też nie wiele już masz czasu — mówiła Brońcia.

— Całe osiem dni! — zauważyła Alinka.

— Schowajże teraz robotę, pójdziemy na śniadanie.

— Poczekaj, pójde z tobą!

Po obiedzie padał deszcz i wuj Jaś wraz z dziewczynkami puszczały przepyszne bańki mydlane. Po tem mama zawołała na głośne czytanie.

Alinka znowu nie mogła się wziąć do szycia.

Nazajutrz, tylko rano zająć się mogła swoją pilną robotą, bo zaraz po obiedzie przyjechali goście z sąsiedztwa, państwo Rogińscy, z córkami Manią i Adelią.

Były to rówieśnice Brońci i Alinki.

Dziewczynki bawiły się wybornie, czas zeszedł im tem przyjemniej, że i nazajutrz zobaczyć się znów miały; gdyż państwo Rogińscy zaprosili do siebie na cały dzień wuja Jana i obie dziewczynki. Rodzice ich mieli przyjechać po nie nad wieczorem.

— A moja robota? — zawołała Alinka z żalem, gdy już obie spać się kładły. — Boże mój! mam już

tylko cztery dni, bo przecież jutro nic nie zrobię, a tu dopiero dwa kliny przyszyte. Jeżeli ciągle będą takie przeszkody...

— Moja Alinko;— przerwała Brońcia — przecież panna Marja tyle razy ci mówiła, abys się żwawiej i pilniej wzięła do szycia; ale tobie zawsze zdawało się, że masz tyle czasu przed sobą.

Alince lzy stanęły w oczach.

— Nie płacz, pojutrze będziesz szyła rano i podczas dnia, ja już będę na straży i postaram się zająć mamę, abys miała więcej wolnego czasu. I wuj Jaś nam dopomoże.

Tak pocieszała Brońcia zasmuconą.

Starsza siostrzyczka dotrzymała słowa. Alinka, nazajutrz po wizycie u państwa Rogińskich, obrobiła i obszyła fartuszek koronką. Uradowana, wybiegła z pokoju, zostawiając robotę na krzeselku.

— Jutro, jutro skończę — podśpiewywała.

Następnego dnia, rano, zaraz po ubraniu się i zmówieniu pacierza, chciała wziąć się do szycia.

Lecz gdzież ten fartuszek?

Przypomniała sobie, że wczoraj zostawiła go na krzeselku.

Pobiegła do Julki z zapytaniem, czy nie widziała roboty, a może ją schowała?

— Nie, panienko,— odparła służąca — wcale nie widziałam roboty panienki. Naparstek tylko

i nici leżały na ziemi, więc je podniosłam i położyłam na stoliku. Jeszcze Filuś bawił się z niemi i poplątał z pół szpulki.

Alinka powróciła do pokoju; zaczęła przeglądać wszystkie kąty, zajrzała wreszcie pod łóżko.

Coś tam bielilo się przy ścianie.

— Ach jest!— zawołała i wyciągnęła fartuszek. Lecz w jakimże był stanie! Koronka w kilku miejscach podarta, perkal w jednym miejscu przedziurawiony, jakby przegryziony. Co to się stało?!

Alinka i Brońcia pojąć tego nie mogły.

— Pewno ten nieznośny kociak zrobił mi taką szkodę!— zawołała wreszcie Alinka.

— Filuś!... Jakim sposobem?

— Wczoraj zostawiłam robotę na krześle, bo mi już pilno było pójść do was, do ogrodu. Julka mówiła mi, że Filuś bawił się niemi, więc pewno ściągnął fartuszek na ziemię i bawiąc się nim, poszarpał. Ach, Boże! Co ja teraz pocznę?

Brońcia nie wiedziała na razie jak pocieszyć siostrę i zaradzić złemu.

— Wiesz,— rzekła — dzisiaj rządcą pojedzie do Lublina po sprawunki potrzebne na imieniny mamy, poproś go, aby kupił i perkalu...

— Ach! to już będzie zapóźno!— przerwała Alinka.— Przecież fartuszek trzeba skrajać, a ja tego

nie potrafię; tamte krajała panna Marja. — Ach! jaka ja jestem nieszczęśliwa!

— Masz zawsze jeden fartuszek gotowy, — mówiła Brońcia — no, nie płacz-że tak. Będiesz miała oczy czerwone. Mama to zaraz spostrzeże i zapyta, czego płakałaś? Cóż wtedy powiemy?

— Kiedy nie mogę... wstrzymać się... — szlochała Alinka. — Już mi wszystko jedno! a co powie panna Marja, której obiecałam, że skończę porządnie robotę... że...

Tu urwała, bo niespodziewanie mama stanęła w progu.

— Co się stało? — zapytała. — Czego to Alinka tak płacze?

Alinka wybuchnęła jeszcze głośniejszym płaczem.

Brońcia milczała.

— Moje dziecko, co ci jest, czyś nie chora? — pytała mama przestraszona.

— Nic... nie mnie... nie boli.

— Brońciu, powiedz-że mi, czego ona tak płacze?

Brońcia spojrzała na siostrę; ona przecież musiała odpowiedzieć szczerze mamie, i cała tajemnica Alinki wyjdzie na jaw.

— Mamusi... Filuś podarł fartuszek, który Alinka szyla.

— Jaki fartuszek?

— Dla mamusi... na imieniny... — wyjąkała przez łzy Alinka.

— Nie martw się tem, moja córeczko — powiedziała mama, przyciągając ją do siebie. — Ja ci i tak wdzięczną jestem za pamięć.

Dobroć mamy do głębi duszy poruszyła dziewczynkę.

— To moja wina... ja nie słuchałam panny Marji... cóż Filuś winien... śpieszyłam się... zostawiłam fartuszek na krześle...

Płacz znowu zatamował jej mowę.

Minęła długa chwila, zanim mama zrozumiała, o co chodzi.

— Wiesz, córeczko, — rzekła, gdy wreszcie Alinka uspokoiła się trochę — poproszę cię o jedno wiązanie, którego mi z pewnością nie odmówisz?

Alinka rzuciła się do kolan mamy.

— Ach! mamó, powiedz, co mam zrobić?

— Popraw się ze swej lekkomyślności, bądź akuratną i obowiązkową dziewczynką; to będzie najlepszy podarunek, jaki mi ofiarować możesz.

— Mamó! — zawołała Alinka, — już ja brzydzę się temi wadami, które mi tyle chwil zatrwały. Już tyle razy obiecywałam poprawę, że teraz nie chcę nie mówić; ale jak mamusię kocham, odtąd będę inną.

— Wierzę ci, bo gdybyś się nie zmieniła, pomyślałabym, że mnie nie kochasz. A teraz, umyj sobie oczy i chodźcie na śniadanie.

Brońcia stała na boku zamyślona.

— Mamusi! — odezwała się cichutko.

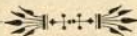
— Czego chcesz, Brońciu?

— I ja chciałabym dać mamusi takie wiązanie, jak Alinka. Ja wiem, że jestem... zarozumiała, i z tej wady chcę się poprawić.

Mama uściskała starszą córkę.

Czy dziewczynki dotrzymały obietnicy?

Naturalnie! Bo czy można złamać przyrzeczenie, dane w imię miłości dla mamy?



NOWA MAMA.

Jedenastoletniej Helence umarła przed kilku laty mama. Biedna sierotka niezmiernie tęskniła za swą matką i z zazdrością spoglądała na towarzyszyki, widząc, jak je mamy pieściły.

Helenka miała wprawdzie bardzo dobrego, kochającego ją ojca; lecz jego zajęcia zbyt wiele zabierały mu czasu, aby mógł ciągle przebywać z córeczką. Ach! gdyby ona miała swoją mamę!

Pewnego dnia, Helenka, stojąc przy oknie, spoglądała na ulicę, po której snuło się wielu przechodniów, dążących śpiesznie w różne strony; jedni nieśli pakunki, inni choinki wielkie i małe; zbliżały się bowiem święta Bożego Narodzenia.

Helenka westchnęła.

— Czemu wdychasz? — zapytała ją niańka, która jeszcze opiekowała się dziewczynką, chociaż jej

wychowanka już od dwóch lat chodziła na pensję. Może chciałabyś dostać na gwiazdkę coś takiego, o czym ja nie wiem jeszcze? Powiedz tylko, a powtórzę tatusiowi twoje życzenie.

— Ach! już ja nie dostanę tego, czego chcę,— odparła smutno Helenka — a jednak tej jednej tylko rzeczy pragnę.

— No! no? — zapytała niańka. — Ciekawa jestem, dlaczego nie miałabyś dostać takiego podarunku, jakiego pragniesz? Alboż mnie tu niema, i tatuś, który swej pieczyńce niczego nie odmawia? Może chcesz nowego pokoju dla lalki, albo też lalki mówiącej, lub jakiej innej zabawki?

Helenka potrząsnęła główką.

— Nie, nie! Nie pragnę żadnych zabawek. Ale tak bardzo chciałabym mieć... nową mamę!

Niańka jakby oniemiała.

— Nową mamę! — zawołała. — A więc macochę! Słyszał kto coś podobnego?... Moje dziecko, za dobrze jest ci widocznie na świecie, że pragniesz nieszczęścia?... Biedne stworzenie, ty nie wiesz jeszcze, co to jest macocha!

Powiedziawszy to, niańka załamała ręce i głębokob westchnęła.

— A przecież Ludka ma także macochę, a ta jest dla niej taka dobra, jak prawdziwa mama! — odezwała się Helenka.

— Nie wierz w to, moje dziecko, macocha prędzej lub później pokaże, co umie. Wszystkie macochy są złe!

— Marynia i Tonia dawno już mają macochę,— nieśmiało szepnęła Helenka — a przecież ciągle ją kochają? Z początku bały się jej trochę, a teraz są takie szczęśliwe.

— Czy ty jesteś tak nieszczęśliwa i tak ci źle ze mną, że aż macochy pragniesz? — zapytała zimno niańka.

— Ach nie, lecz tęskno mi za nową mamą. Tatus jest taki dobry dla mnie i ty także, nianiu, ale brakuje mi mateczki. Gdy jestem u swoich przyjaciółek, zazdroszczę im zawsze mamy.

— Otóż to nagroda za moje przywiązanie! — rzekła niańka, płacząc. — Że ja też takiego dnia dożyłam! Od czterech lat, od śmierci twojej matki opiekuję się tobą, dzień i noc nad tobą czuwam, a ty chciałabyś mnie odpędzić i mieć kogo?... macochę! Pożalujesz tego, ale po niewczasie!

Helenka przestraszyła się; nie chciała, żeby niańka odeszła i nie chciała ją obrażać; wypowiedziała swoją tęsknotę, nie przypuszczając, że jej szczerść tak złe skutki pociągnie za sobą. Zaczęła niańkę swoją całować, głaskać po twarzy, przepraszać... ale daremnie. Niańka jeszcze głośniej płakała.

— Cóż tu się dzieje? — zapytała Krysia, pokojówka, wszedłszy do pokoju.— Czego niańka płacze?

— Chodź-no tu, dowiesz się pięknej rzeczy — rzekła niańka.— Helence zachciało się macochy!

— A to coś nowego! Muszę to powtórzyć Marjannie, aby i ona wiedziała o tem niemądrzym życzeniu.

Wybiegła z pokoju i powróciła wkrótce z grubą kucharką.

— Co mi to Krysia opowiada! — zaczęła kucharka.— Helence zachciało się macochy?

Niańka skinęła głową kilka razy potakująco, z giestem rozpaczy.

— Jakież to nie mądre dziecko, choć już tak dawno do szkoły chodzi! — zaśmiała się Krysia.

— To coś okropnego! — oburzyła się kucharka.— Niech Helenka powie to jeszcze panu! W końcu gotoweśmy mieć nową panią, nowe rządy. Ani godziny nie zostałabym tutaj!

— Ani ja! — mówiła Krysia.

— Ja zarazbym ten dom rzuciła! — powtórzyła płacząca niańka.

— Tak, wszystkie trzy odejdziemy stąd, a ty biedne stworzenie, zostaniesz sama, bez przyjaciół. Ale za to będziesz miała macochę, a ta potrafi wszystkim tak pokierować, że i twój tatuś kochać

cię przestanie. Ona nieraz nie tylko cię wybiję, ale nawet głodną zamknę do piwnicy.

— Ach, nigdy o tem nie myślałam, — zawołała Helenka, wybuchając płaczem.— Już nie chcę nowej mamy, ani macochy, tylko zostańcie przy mnie.

— Zmartwiłaś nas, — rzekła kucharka — my cię tak kochamy, a jeżeli będziesz miała macochę, to my na to nie chcemy patrzeć.

— Tak, tak, — zawołała Krysia — i niech ci potem macocha dokucza, nikt cię bronić nie będzie.

Helenka płakała, a chociaż przykro było starej niańce patrzeć na jej łzy, przecież odrazu nie dała się prześlagać.

Odtąd codziennie niańka opowiadała Helence o złych macochach, które męczyły pasierbów. To też Helenka nie pragnęła już wcale nowej mamy, a nawet dziwiła się, że takie życzenie w jej głowie powstać mogło.

Tymczasem nadszedł dzień Wigilji Bożego Narodzenia.

Helenka stała wieczorem przy oknie i przypatrywała się ciekawie choince z mnóstwem zapalonych świeczek, która jaśniała naprzeciwko w mieszkaniu sąsiadów. Jakże tam było wesoło! Dzieci biegały koło drzewka, pokazywały sobie nawzajem otrzymane podarunki, dziękowały ojcu i matce, która uśmiechała się tak słodko do swoich pociech.

— To jest prawdziwa mama, nie macocha! — myślała Helenka.

Wkrótce zawołano ją do wieczerzy wigilijnej. Zasiedli do niej: tatuś i Helenka. Podzielono się opłatkiem, Helenka życzyła tatusiowi zdrowia i nianka także. Dziewczynka zauważyła, że tatuś był dzisiaj w lepszym humorze, niż dawniej, wesoło rozmawiał z córką, żartując z jej ciekawych oczek, raz wraz spoglądających w stronę drzwi, za którymi stała w sali choinka.

— Co też ta niania położyła koło choinki? — pytał ojciec. — A może jest tam taka duża żaba? A może pajak z długimi nogami! — mówił z udaną powagą.

Ale Helenka roześmiała się wesoło.

— O! tatuś ze mnie żartuje, bo wie, że ja tak nie lubię żab i pajaków.

— A gdybyś znalazła taką dużą żabę z marcepanu albo pajaka z czekolady?

Helenka zawahała się.

— Zjadłabyś ją, co? — śmiał się ojciec, gładząc jasne włosy córeczki.

— Widziałam już cały pałacyk z czekolady, ale pajaka — to nie, — zauważyła Helenka, myśląc, że może naprawdę to straszne stworzenie leży pod choinką.

— Ponieważ kończymy wieczerzę, — rzekł ta-

tuś — niech więc niania zobaczy, czy tam co nie uciekło z pod choinki, proszę zapalić świece na choince, my tam zaraz pójdziemy.

Po chwili weszli do salonu. Drzewko lśniło się mnóstwem świateł. Pod niem leżały podarunki: lalki, Kuchenka, piłka, książki z powiastkami i wiele innych śliczności.

Dziewczynka ucałowała swego kochanego tatusia, podziękowała za tyle pięknych zabawek, jednocześnie jednak pomyślała.

— Jaka to szkoda, że nie mam siostrzyczek, ani braciszków, z którymi mogłabym się bawić, ani takiej dobrej mamy, jak te dzieci z przeciwka!...

Gdy już obejrzała wszystkie zabawki, ojciec wziął ją na kolana, jedną ręką przygarnął do siebie, a drugą podniósł w górę jej główkę i spojrział w błękitne, niezbyt rozradowane oczy córeczki.

— Mam dla ciebie jeszcze jeden podarek, — wyrzekł — ale dzisiaj dać ci go nie mogę.

— Jaki tatusiu? niech tatko mi przynajmniej powie.

— Moja Helenko, dostaniesz wkrótce nową mamę, będziemy wszyscy bardzo szczęśliwi.

Dziewczynka spuściła głowę i milczała.

— Nie cieszysz się, moje dziecko?

— Ja nie chcę macochy!

Ojciec zsadził ją z kolan.

— Jak możesz tak mówić! Helenko — zawołał. — Proszę cię, nie powtarzaj nigdy tak brzydkiego wyrazu. Kto ci o tem powiedział?

— Tatusiu, — mówiła płaczliwie Helenka — nowa mama to przecież macocha, a wszystkie macochy są złe i dręczą dzieci.

— Mylisz się, moje dziecko — rzekł ojciec poważnie. — Bardzo mnie zmartwiłaś; sądziłem, że sprawię ci radosną niespodziankę. Nie chcę smucić twojej nowej mamy, więc nie powtórzę jej tego, co przed chwilą powiedziałaś, bo ona już cię kocha i myśli o tobie.

Helenka milezała. Ojciec rzadko tak poważnie przemawiał do niej, ta surowa powaga zamknęła jej usta.

Wkrótce pan Kaliński udał się do swego gabinetu, a Helenka smutno patrzyła na nowe zabawki, na choinkę, nie bawiąc się niemi wcale.

Siedziała tak z godzinę, niby to przeglądając książkę, ale myślała tylko o słowach ojca i o przykrości, jaką mu wyrządziła. W końcu rada była, gdy nadeszła godzina spoczynku.

Gdy już leżała w łóżeczku, niańka pochyliła się nad nią i zapytała:

— Cóż ci jest, aniolku? Nigdy jeszcze tak smutną nie byłaś w dzień Wigilji. Może nie podobały ci się zabawki?

W odpowiedzi, Helenka zarzuciła jej ręce na szyję i cichutko szepnęła:

— Będę miała macochę, tatuś mi to powiedział. Niańka porwała się za głowę.

— Boże! — zawołała. — Wypowiedziałas swoje życzenie w złą godzinę i dla tego spełniło się. Nieszczęśliwe dziecko!

— Ja już teraz nie chcę macochy, — mówiła Helenka, ale tatuś rozgniewał się, gdy mu powiedziała, że wszystkie macochy dokuczają dzieciom.

— Bo i prawda — mówiła niańka, kiwając głową — biedne, biedne dziecko! Miej się przynajmniej na baczności, gdy przybędzie, i nie wierz jej słodkim słówkom. Z początku udawać będzie dobrą i łagodną, ale to wszystko fałsz! Nigdy cię ona kochać nie będzie tak jak ja. Ja tylko jestem twoją prawdziwą przyjaciółką!

Helenka płakała, a niańka żałowała i pocieszała ją naprzemian.

Gdy nareszcie dziewczynka zasnęła, niańka pobiegła do kuchni, by podzielić się tą ważną wiadomością z Krysią i z kucharką.

Nowina wywołała wielkie niezadowolenie wśród służby. — Pan, doprawdy, nie powinien żenić się powtórnie. Wszak w domu wszystko idzie składnie, niańka dba o Helenkę, jak rodzona matka; nowa pani jest zupełnie niepotrzebną! Pokojowa i kucharka

także były oburzone. Teraz robią, co im się podoba, a tu trzeba będzie słuchać rozkazów nowej pani.

— Jeżeli mi będzie źle, zmienię służbę — odezwała się kucharka.

— Ja także! — mówiła Krysia.

— Wy jesteście młode i łatwo znajdziecie miejsce, — rzekła niańka — ale ja! Myślałam, że do śmierci pozostanę w tym domu. Nowa pani pewno powie, że jestem zbyt cenną i oddali mnie.

— Co znowu! — zawołała pokojówka, — niech niańka tylko rozumnie postępuje. Odstępczaj pani Helenkę od macochy, to ona sama chętnie odstąpi ci opiekę nad dzieckiem, z którym miałyby tylko ciągle kłopot.

Niańce podobała się ta rada; postanowiła zastosować się do niej.

To też, gdy w kilka dni później pan dyrektor oznajmił służbie, że nowa pani wkrótce przybędzie, niańka skłoniła się swemu chlebodawcy i życzyła mu szczęścia, co go widocznie ucieszyło. Gdy chciała odejść, pan zatrzymał ją i rzekł:

— Moja niańko, wierzę w wasz rozsądek i w dobry wpływ na moją córeczkę. Helenka zmartwiła mnie bardzo niechęcią, z jaką przyjęła wiadomość o moim ślubie; proszę was, wytłómaczcie jej, że nowa mama będzie dla niej jak najlepszą matką, której może zupełnie zaufać i kochać ją całym sercem.

Niańka przyrzekła spełnić życzenie pana. I istotnie przykazywała Helence, aby była dobrą dla macochy i ulegała jej, lecz przytem miała tak smutny wyraz twarzy, tak wzdychała, że Helenkę coraz większy lęk przejmował wobec owej nieznaney mamy.

Ojciec widział, że dziewczynka jest niezadowolona, mówił z nią o tem, uspakajał, perswadował; w końcu, gdy upominania nie pomogły, wylał dziewczynkę.

Wszystko to jednak było daremne. Z chęcią byłby zawiózł Helenkę do rodziców narzeczonej, mieszkających w innem mieście, lecz ciągle dąsy córki kazały mu zaniechać tego zamiaru.

— Widzisz, już ojciec cię tak nie kocha, jak dotąd — mówiła niańka do Helenki, gdy były same. — Zawsze tak bywa! Macocha póty będzie intrygować, póki ojciec zupełnie nie przestanie cię kochać. Wkrótce nie będziesz miała przy sobie nikogo, ktoby cię kochał, bo czy to ona zniesie w domu twoje przyjaciółki?

— Ty nie odejdziesz, nianiu — wołała Helenka — jabym tego nie zniosła.

— Kto wie, czy ty biedactwo, będziesz mogła się oprzeć — wzdychała niańka, zawsze jednak trzymaj się mnie, to sobie poradzimy; będziesz miała przy sobie choć jedną przyjazną duszę.

Tymczasem przygotowywano dom na przyjęcie

nowej pani. Odnowiano meble, zmieniano obicia, robotnicy kręcili się po domu.

Helenkę bawiła ta zmiana, ten ruch niezwykły; lecz niańka starała się zawsze przyćmić jej wesołość przepowiedniami przyszłych nieszczęść.

— Dziwię się, — mówiła — że pan dyrektor nie kazał schować portretu nieboszczki pani. Macochy nie znoszą portretów pierwszych żon swoich mężów. Gdy ona tu przybędzie, pewno każe ten portret usunąć.

Przed odjazdem ojca na ślub, Helenka odebrała od przyszłej swojej mamy serdeczny list, do którego dołączona była wielka, ślicznie ubrana lalka.

Dziewczynka zachwyciła się nią; lecz wnet znikła jej radość, gdy zła niańka zaczęła smutnie kiwać głową, mówiąc, że przyszła macocha musi być bardzo podstępna kobieta, skoro przysyła takie podarunki. Widocznie chce sobie ująć swoją przyszłą pasierbicę; ale nie można jej wierzyć, to pewno udane.

Przy pożegnaniu nie powiedziała ojcu, nie mu nie przyrzekła i p. Kaliński z ciężkiem sercem dom opuścił. Ucałował jednak czule Helenkę, prosząc ją, aby serdecznie przywitała mamę, gdy przybędzie.

Cały dom przedtem już odświeżony, przybrano kwiatami na przyjęcie nowej pani. Helenka włożyła białą sukienkę, niańka wraz z kucharką i pokojową wystroiły się także.

Niańka kupiła piękny bukiet ze świeżych kwiatów, który dziewczynka miała wręczyć macosze; lecz Helenka oparła się temu żądaniu; za nic w świecie nie poda bukietu.

— To niańki wina, — mówiła kucharka — nie trzeba było tak straszyć dziecka i tak źle je usposabiać dla macochy! Co się stało, już się nie odstanie, a przecież lepiejby było, gdyby Helenka żyła z nią w zgodzie.

Niańka rzuciła kucharce spojrzenie pełne złości, nie jednak nie odrzękła; lecz Helence powiedziała, że kucharka już ją zdradziła dla nowej pani i że odtąd tylko ona jedna przy niej została, jako jej przyjaciółka.

Nareszcie zajechał powóz. Pan Kaliński wysiadł pierwszy z pojazdu, po nim młoda pani, której podał rękę i do domu wprowadził.

Nowa mama, młoda, ładna i uśmiechnięta, w niczem nie przypomniwała Helence obrazu macochy.

— Moje drogie, kochane dziecko — rzekła, serdecznie całując dziewczynkę — bardzo się cieszę, że cię poznaję! Przyrzekam być ci dobrą mamą; ale spodziewam się, że i ty mi będziesz dobrą córeczką? Tatusi mówił mi, że jesteś dobrą dziewczynką!

Ojciec ucałował także Helenkę, zdawał się czegoś oczekiwać, a widząc smutną minę mileżącej córki, zrobiło mu się przykro. Bolało go, że ta córka

tak chłodno witała swoją nową mamę, bo za ledwie pocałowaniem w rękę.

Wprawdzie Helence też przyszło na myśl, że tę miłą, młodą mamę chętnie uściskałaby serdecznie, ale gdyby to nie była jej macocha!...

Ojciec oprowadził żonę po domu. Nowej pani dom podobał się, życzliwie przemawiała do służby, która zaraz zmiarkowała, że z chęcią zostanie przy takiej pani. Niance dziękowała za opiekę nad Helenką.

Falszywa kobieta ucałowała niby ręce pani, ale zaraz po jej odejściu utrzymywała, że jej nie zwiedzie pięknymi słówkami.

— Tutaj przy tem oknie będę zajmowała się ręczną robotą, — mówiła pani — tutaj zapewne siedywała też mama twoja, Helenko, a przy niej bawiłaś się? I teraz tak będzie. Będiesz bawić się i pracować koło mnie, nieprawdaż?

Dziewczynka w milezeniu spuściła głowę.

Pani Kalińska przypuszczając, że nieśmiałość powoduje brak odpowiedzi, zbliżyła się do dziewczynki i uściskała ją serdecznie; lecz ojciec, który znał myśli swej córki, rzucił jej tylko surowe spojrzenie.

— Więc to jest portret twojej mamy, — mówiła młoda pani — stając przed biurkiem męża, jakże dobrą i piękną była! Zdaje mi się, że uśmiecha się do nas. Pewno patrzy na nas z nieba i wie, jak jej

córeczkę pokochałam. Przypominasz ją bardzo, Helenko. Czy pamiętasz swoją mamę, moje dziecko?

— Trochę — szepnęła Helenka.

— Musisz mi opowiedzieć, co pamiętasz o niej; często będziemy mówili o twojej mamie, abyś o niej nie zapomniała. Jak jej musiało być strasznie, tak wczesnie opuszczać swoje dziecko!...

— Odpocznij teraz, — odezwał się pan Kaliński — musisz być zmęczona.

I podawszy żonie rękę, poprowadził ją do jej pokoju.

Po ich wyjściu, nianka rzekła do Helenki:

— Widzisz, ojciec teraz myśli tylko o macosze, na ciebie ani spojrzął.

— A jednak ona musi być dobrą, taka jest ładna — szepnęła dziewczynka.

— To ci się tak tylko zdaje, wkrótce poznasz ją lepiej!

Helenka poszła powiedzieć ojcu i nowej mamie życzenia dobrej nocy i wróciła. Nianka rozebrała ją.

Często Helenka, leżąc już, dostawała od nianki cukierki lub inne słodycze, niby na dobranoc; często też chorowała z tego. Doktor zapytywał nieraz o powód tej niedyspozycji, ale nikt nie powiedział prawdziwej przyczyny. Nianka zaś nie pomyślała, że to ona swoją niewłaściwą troskliwością przyczynia się do tego.

Właśnie w takiej chwili weszli rodzice. Nowa mama chciała jeszcze popieścić Helenkę.

— Co to znaczy? — zapytał ojciec zdziwiony — co Helenka je w łóżku?

— Przyniosłam jej kilka cukierków, — odezwała się niańka, ona lepiej śpi po tem; zresztą tak się już przyzwyczaiła.

Nowa mama miała minę niezadowoloną.

— Ależ to szkodliwe przyzwyczajenie, — odezwała się — niech niańka tego nie robi. Helenka będzie zdrowszą, jeżeli przestanie jadać na noc słodycze.

— Niech niańka nie waży się dawać Helence cukierków, — rzekł pan Kaliński — zabraniam tego!

Helenka nie odzywała się wcale i odwróciła się do ściany, gdy mama jeszcze raz ucałować ją chciała.

— A co? — zawołała niańka, gdy pozostały same — już macocha zaczyna swoje rządy! Ale nie martw się, biedaczko, już ja o tobie pamiętać będę, nie zbraknie ci cukierków.

— Ależ to tatuś zabronił! — zauważyła Helenka.

— Bo tak chciała macocha! — mówiła uparta kobieta. — Dawniej nie nie mówił.

Helenka pozostała przy złem przyzwyczajeniu; nieraz chowała cukierki pod koldrę, słysząc zbliżające się kroki mamy.

Nowa pani nie jedną rzecz zganić musiała w Helence.

Zauważyła też, że zabawki Helenki znajdują się w oplakanyim stanie.

— Helenko! — mówiła, — czy nie żal ci tych biednych lalek?... Patrz! jedna ma naderwaną rękę, druga odklejone włosy, z trzeciej sypią się trociny. Trzeba to wszystko naprawić. A gdzie są inne zabawki? W pudle jest ich bardzo mało.

Helenka zarumieniła się.

— Trochę zabawek leży w szufladzie w moim stoliku — rzekła.

— Zapewne trochę w szafie — dodała mama, zbierając je z półek — poukładajmy je, moje dziecko w pudle. Zajrzymy teraz do porcelany lalek... ach! jakież brudne talerzyki, filiżanki. — O! córeczko, taki nieporządek jest nieładny. Zanieś-że te brudne talerzyki do kuchni i poproś Krysię, aby ci je pomyła. Odtąd, Helenko, ile razy będziesz się bawiła talerzykami lalki, trzeba, abyś sama pozmywała zbrudzone.

— Dobrze, mamó! — odparła zawstydzona dziewczynka.

— Mam nadzieję, że wszystkie zabawki porządnie poukładasz w szafce. Czy nie wolałabyś bawić się temi zabawkami przy mnie, w moim pokoju? Będziemy się razem bawiły, rozmawiały, będzie nam razem wesoło i przyjemnie — dobrze?

Niańka uczuła się niezmiernie dotkniętą tą zmianą i wmówiła w Helenkę, że macocha chce ją w ten sposób oddalić od wiernej, przyjaznej istoty.

I w domu nowa pani zaprowadziła wiele zmian korzystnych. Wszystko szło teraz składniej.

Krysia i kucharka wdychały po kątach, przy czem jedna drugiej zaręczała, że już dłużej nie zniosą tych nowych rządów. Jednak, ponieważ były to w gruncie niezłe i rozsądne dziewczyny, musiały przyznać, że nowa pani ma słuszość.

Wkrótce też, ujęte jej dobrocią, pokochały ją tak, że w ogień poszłyby za nią.

Nie tak myślała niańka. Nie śmiała otwarcie sprzeciwiać się woli pani, lecz starała się zawsze pokrzyżować jej plany, przy czem nieustannie buntowała Helenkę przeciw «macosze.» Co tylko nowa mama zaleciła lub pochwaliła, ona ganiła za jej plecami, utrzymując, że pani nienawidzi dziewczynki.

Zaraz w pierwszym tygodniu młoda pani dopilnowała, aby bielizna i sukienki jej przybranej córeczki były porządnie utrzymane i w szafie jak należy ułożone, lub zawieszane. Znalazła tu kilka ładnych i kosztownych sukienek mało znoszonych, a już poplamionych, pomiętych lub podartych.

Niańka, sama nieporządna, udzieliła tej wady swojej wychowance.

Helenka nie dbała o ubranie, nieraz siadała na

ziemi w świeżej sukience, wsuwała się pod stół lub kanapę, by wyciągnąć stamtąd jakąś zarzuconą zabawkę, a nikt nie myślał o wyczyszczeniu lub naprawieniu zbrudzonej albo podartej w ten sposób sukienki. Niańka chowała ją do szafki i szła do pana dyrektora z wiadomością, że Helenka potrzebuje nowego ubrania.

Pan dyrektor dawał pieniądze, gdyż sam nie miał wcale czasu na zajmowanie się sprawunkami, a niańka kupowała nową sukienkę.

Teraz zmieniły się czasy. Mama sama pocerowała, pozaszywała lub wyczyściła splamione i podarte ubrania, i to tak pięknie, że wyglądały jak nowe.

— Moja niańko,— mówiła — proszę więcej dbać o ubranie Helenki, przecież to szkoda tak dobrowolnie marnować ubranie. A ty, Helenko, postaraj się nie plamić i nie drzeć sukienek. Taka duża dziewczynka może już mieć więcej uwagi i ostrożności.

— Kiedy ja sama nie wiem, jakim sposobem robię plamy na sukience.

— Widziałam kogoś, jak w śpiżarce opierał się o faskę z masłem i pobrudził rękaw.

— Ach, to prawda! — zawołała, rumieniąc się Helenka.

— A kto to wbiegł jak burza do piwnicy i rozdarł sukienkę o gwóźdź od beczki?

— To ja, mamol!

— Mam nadzieję, że ci się uda uniknąć tego; przy dobrej chęci, moje drogie dziecko, wszystko można.

Lecz nie tak to łatwo stracić złe przyzwyczajenie! Helenka przez nieuwagę, a często i przez nie dbalstwo, dalej plamiła i rozdzierała sukienki. Nic nie pomogły napominania i uwagi mamy. Aż wreszcie mama stanowczo kazała Helence wyjść w sukience, na której widniały duże plamy z konfitur.

Zawstydzona dziewczynka przyrzekła wtedy uroczyście, że już uważniej jeść będzie, a przy zabawie piłką, nie będzie się walała po podłodze, by piłkę wydobyć z pod kanapy, lecz wyciągnie ją kijem.

Mama nie kupowała Helence drogich sukienek, jak to dotąd bywało, lecz sama szyła jej zgrabne sukienki z tańszego, lecz praktycznego materiału.

— Takie sukienki będą dla ciebie wygodniejsze — mówiła. — Będziesz wyglądała skromnie, ale czysto i porządnie.

— Cóż to za lichy worek? — mruzczała niańka, kładąc dziewczynce nowe ubranie; przecież ty, mój skarbie, jesteś bogatą, możesz więc nosić lepsze sukienki! Póki ja cię ubierałam, wyglądałaś jak księżniczka, każdy na ulicy oglądał się za tobą; a teraz... córka rzemieślnika bywa lepiej od ciebie ubrana. Ale naturalnie! im gorzej będziesz ubraną, im

brzydszą będziesz, tem większa dla niej uciecha! Przecież to macocha!

Helenka była z natury łagodna; lecz słowa niańki tak ją rozdrażniały, że byłaby z chęcią zdarła z siebie nowe ubranie. Chciała podziękować mamie za te nowe sukienki, lecz teraz zamiaru tego zaniechała.

W mieście, w którym mieszkał ojciec Helenki, w tydzień po Wielkiej Nocy odbywał się zwykle wielki jarmark. Na ogromnym placu mnóstwo przekupniów ustawiało kramy z różnemi towarami; stały tam karuzele, huśtawki, pachniały ciastka i pierniki; przybyła też w tym roku menażerja, woskowe figury, ciele z dwiema głowami i kobieta-olbrzym.

Helenka lubiła przejść się po placu jarmarczonym i pokosztować rozmaitych słodyczy; to też poprosiła mamy, aby mogła pójść z niańką.

Mama pozwoliła jej przejechać się na karuzeli, zobaczyć tresowanego kucyka i przyjrzeć się lino-skokom.

— Na inne widowiska niech niańka Helenkę nie prowadzi, — mówiła mama — bo dla takiej dziewczynki są niestosowne i nawet nie zajmujące.

Ten zakaz, rozumie się, rozgniewał niańkę.

— Ciekawa jestem, — mruzczała — dlaczego nie mamy wszystkiego zobaczyć? Macocha chce nam tylko pokazać swoją wolę i władzę. Mniejsza o lwy i tygrysy, bo już nieraz te zwierzęta widziałam. Ale

tę olbrzymkę chciałabym widzieć, musimy ją zobaczyć. Nieprawdaż, Helenko?

— Ja wolę obejrzeć kucyka, a także uczone psy i małpki.

— Dobrze; najprzód przyjrzymy się tym uczonym zwierzętom, a potem obejrzymy olbrzymkę.

— Kiedy mama zakazała!

— Ach, cóż znowu! Może o tem nie wiedzieć.

— Nie trzeba kłamać! — zauważyła dziewczynka.

— Naturalnie. My jej tylko nic o tem nie powiemy, a ona nie zapyta. Chodź, z pewnością spodobą ci się olbrzymka, to najciekawsze z całego jarmarku.

Helenka nie opierała się dłużej, chociaż czuła pewien niepokój; ale niańka podnieciła jej ciekawość i żal do matki, że nie pozwoliła im oglądać wszystkiego. Udały się zatem, po obejrzeniu piesków i małpek, do drewnianej budy, gdzie za płócienną zasłonę wpuszczano widzów, żądnych widoku olbrzymki.

Stała tam istotnie bardzo wielka, tęga kobieta, która fałszywie śpiewała i śmiała się głośno.

Olbrzymka ta nie zachwyciła Helenki. Pociągnęła też niańkę ku wyjściu i odetchnęła swobodnie, gdy się znalazły na dworze.

Zaledwie jednak przestąpiła próg budy, spotka-

ła się z rodzicami, którzy przyszli zobaczyć, jak bawi się ich dziewczynka.

Niańka w owej chwili pragnęła, by ziemia rozstała się pod nią, a Helenka zadrżała, gdy spojrzała na mamę.

— Skąd wychodziecie? — zapytała surowo. — Wszak prosiłam, aby tu nie wchodzić!

— Chciałyśmy tylko... to jest... wyszłyśmy zaraz... — jękała niańka.

— Musiałyście postawić na swoim! — rzekł ojciec. — Wracajcie do domu, tam się rozmówimy.

I poszedł dalej z żoną w milczeniu.

Gdy wrócili do domu, Helenka podeszła ku nim.

— Ach, droga mamó, przebacz! — prosiła.

— Jak mogłaś być tak nieposłuszną? Przecież mama wyraźnie zabroniła tam chodzić — zapytał ojciec. — Sprawiałaś mamie wielką przykrość. bo czy może ci teraz ufać?

Helenka rozplakała się.

— Ja nie chciałam tam iść! — szepnęła.

— A jednak poszłaś? I któż cię do nieposłuszeństwa namówił? — zapytał ojciec.

Helenka milezała. Nie chciała oskarżać niańki, wołała winę przyjąć na siebie.

— Dawno już zauważyłam — mówiła pani dyrektorowa, gdy została sama z mężem — że niańka ciągle buntuje Helenkę. Nie chciałam nalegać o od-

dalenie dotychczasowej opiekunki dziecka, która je po swojemu kocha; wiele znoszę z tego powodu, sądzę jednak, że z czasem Helenka pojmie i odczuje, jak ją serdecznie kocham. Lecz nie mogę przystać na to, aby niańka namawiała ją do nieposłuszeństwa. Mój drogi, trzeba jej powiedzieć, aby się starała o inne miejsce dla siebie, bo wpływ jej na Helenkę jest coraz szkodliwszy. Dziewczynka nabędzie rozmaitych przyzwyczajęń wcale niepotrzebnych.

— Masz słuszość,— potwierdził dyrektor — ja już dawno chciałem to zrobić, ale jeszcze czekałem.

Przywołał zaraz niańkę i wymówił jej miejsce, płacąc jej naprzód za trzy miesiące.

Uparta kobieta nie spodziewała się tego wcale.

— Już dawno zauważyłem i przekonałem się, że ciągle podmawiacie dziecko przeciw mojej żonie; Helenka nie byłaby taką, jaką jest, gdyby nie wasz wpływ na nią, nie mogę zatem tak niedobrej i fałszywej kobiety trzymać dłużej u siebie. Macie tu wynagrodzenie i szukajcie sobie innej służby.

Niańka poczęła przeproszać, wreszcie oznajmiła, że Helenka nie wyżyje bez niej. Lecz były to słowa daremne, p. Kaliński nie zmienił postanowienia.

Zabrawszy pieniądze, niańka poszła do Helenki, zaczęła płakać i narzekać.

— O, moje biedne dziecko! Wypędzają mnie, mój skarbie, teraz ty będziesz bez opieki. Widzisz,

tego tylko chciała twoja macocha! Może cię jeszcze kiedy otruje, bo już i tak nieraz bywało.

— I ja bym wtedy umarła?

— A umarłabyś.

— Cóż znowu! Jak można mamę o to posądzać! — zawołała Helenka.

Jednak złośliwa ta uwaga przeraziła dziewczynkę.

— Nie odchodź, nianiu, odemnie, — prosiła — ja nie wytrzymam bez ciebie. Czekaaj, jeszcze pójde do mamy i tatusia i póty ich będę prosić, póki ciębie nie zostawią.

— To się na nic nie zda! lecz możesz spróbować.

Helenka pobiegła do rodziców. Błagała, aby nie oddalali jej kochanej niani i obiecywała, że sama będzie odtąd bardzo grzeczną i posłuszną, że każdą karę za dzisiejsze przewinienie przyjmie, byle nie odbierano jej niańki.

Zmartwienie Helenki sprawiało rodzicom wielką przykrość; rozumieli dobrze, jak boleśnie jej było rozstawać się z dotychczasową opiekunką, lecz widzieli, ile złego ta niańka wyrządza im, ucząc dziecko nieposłuszeństwa, nieporządku, a nawet fałszu w postępowaniu; z żalem przeto odmówili.

Helenka prosiła coraz usilniej, wreszcie rozplakała się na cały głos, krzycząc, że nie puści niańki.

Ten upór rozgniewał ojca; lecz żona zaczęła go uspakajać.

— Przebacz jej, — mówiła — ona w tej chwili sama nie wie, co mówi i co czyni.

To wstawiennictwo matki, zamiast uspokoić Helenkę, jeszcze silniej ją rozdrażniło.

— Ja wiem dobrze, co to znaczy! — zawołała — jesteś macochą, która mnie znieść nie może, która mi tylko źle życzy. Ale ja ciebie też nie kocham, a moją niańkę kochać będę zawsze!

Powiedziawszy to, Helenka przeraziła się sama swemi słowami. Cofnęłaby je zaraz chętnie, lecz już było zapóźno.

Słowo raz wypowiedziane, cofnąć się nie daje, trzeba znosić jego skutki.

— Helenko! Jak możesz tak mówić! — łagodnie odpowiedziała mama; lecz zbladła, a oczy jej napęły się łzami.

Ojciec pochwyił dziewczynkę za rękę i wyprowadził do jej pokoju. Nigdy jeszcze na jego twarzy nie widziała wyrazu tak silnego gniewu.

— Tu pozostaniesz! — wyrzekł. — Takie złe dziecko nie zasługuje na miłość rodziców. Nie wiem, czy przebaczy ci ta dobra mama, którą tak ciężko obraziłaś, ale ja wolę oddać cię z domu, niż narażać ją powtórnie na taką przykrość.

Wyszedł i drzwi zamknął.

Helenka przez chwilę płakała; potem zaczęła zastanawiać się nad swoim zachowaniem. Nie mogła zrozumieć samej siebie. Jak mogła wymówić tak strasznie niesprawiedliwe słowa?!

Rozdrażniło ją zmartwienie, spowodowane odejściem niańki, ale to ją nie usprawiedliwiało!

Mama miała słuszność, oddalając kobietę, która ją uczyła nieposłuszeństwa i tak podburzała.

Lecz znów inne myśli ją opanowały i znów gniew i bunt powstał w jej duszy.

Po pewnym czasie usłyszała pode drzwiami głos niańki.

— Żegnam cię, aniołku, mój skarbie jedyny. Widzisz, przez macochę nie pozwolił mi ojciec nawet wejść do ciebie. Nie mogę cię nawet uściskać na pożegnanie. Dzień i noc myśleć będę o tobie. Nie przestawaj tylko, biedaczko prosić, a zobaczysz, że wymożesz mój powrót do ciebie.

Wtem weszła pani dyrektorowa.

— Helenko, pożegnaj niańkę — rzekła, — ona dzisiaj odjeżdża na wieś.

Powiedziawszy to, zatrzymała się.

Tego się niańka nie spodziewała, zawstydzila się i pocałowała panią w rękę.

Helenka zapłakana i zdziwiona, pożegnała niańkę; ona myślała, że mama nie pozwoli już nawet zo-

baczyć niańki, a tymczasem właśnie sama mama wezwwała ją do pożegnania.

Po pożegnaniu Helenka chciała wyjść z pokoju.

— Helenka ze swego pokoju wyjść nie może, ojciec nie pozwala, trzeba tu pozostać, dopóki ojciec każe — rzekła mama.

Ten rozkaz zgasił skrucę, którą dziewczynka już odczuwać zaczynała, i gdy Krysia przyniosła jej obiad, zastała ją siedzącą przy oknie z nadąsaną miną.

— To sobie Helenka piwa nawarzyła, — rzekła Krysia, a wszystko przez tę niańkę. Helenka nie rozumie, że nasza pani jest dla niej tak dobrą, jak rodzona matka. Gdyby niańka szczerze kochała Helenkę, powiedziałyby, że to szczęście prawdziwe mieć taką dobrą, drugą matkę. A teraz pani płacze i jest bardzo zmartwiona.

Helenka nie odpowiedziała, usiadła do jedzenia; lecz nie przełknąć nie mogła.

Wkrótce przyszła Krysia z drugą potrawą.

— Helenka jest zmartwiona, — rzekła — ale należy tę mamę pokochać. My także z niechęcią przyjęliśmy wiadomość o przybyciu pani, lecz poznałyśmy, że pani jest dobra, jak anioł. Nieraz mówiliśmy, że nieboszczka pani cieszy się tam w niebie, że jej córeczka ma tak dobrą opiekunkę. Wszyst-

ko złe ściągnęła na Helenkę ta niańka; niech się Helenka cieszy, że to zło od niej odeszło.

Helenka płakała, czuła, że Krysia ma słuszość. Zastanowiła się nad jej słowami. Czy ta macocha o nią nie dba, czy nie myśli o jej zdrowiu, o jej nauce, o zabawie? A ona zawsze z dąsem i niechęcią na nią patrzy. Gdyby nie złe podszepty niańki, która zawsze przedstawiała podejrzliwie postępowanie nowej mamy, byłaby ją dawno pokochała. Tak, to niańka wszystkiemu winna!

Długi i smutny był to dzień dla Helenki; siedziała ciągle sama.

Nadszedł wieczór i Krysia przyszła posłać łóżeczko. Helenka ukłękła do pacierza.

— Czy Helenka wprzód nie przeprosi mamę? — mówiła Krysia; — z takim gniewem w sereu lepiej nie modlić się dzisiaj. Taki pacierz ustami tylko mówiony, to obraza Boska!

Helenka nie odpowiedziała. Rzeczywiście, nie mogła się modlić; płakała jednak, aż wreszcie wstała i położyła się. Wkrótce zasnęła.

Wtedy otworzyły się drzwi i mama podeszła do jej łóżeczka. Z miłością popatrzyła na bladą twarzyczkę dziewczynki i lekki pocałunek złożyła na jej czole. Potem spojrzała na obraz Chrystusa i modliła się, by Bóg raczył obudzić miłość ku niej w sercu dziewczynki i przywrócić zgodę i spokój w rodzinie.

Anioł stróż Helenki zaniósł tę modlitwę przed tron Przedwiecznego.

Nazajutrz mama chciała pójść do córki i przycisnąć ją do serca, lecz ojciec jeszcze nie pozwolił.

— Nie wchodź tam jeszcze — rzekł do żony. — Żal mi również Helenki, i my przez nią cierpimy, trzeba jednak, żeby sama uznała swoją winę.

Tak upływały godziny. Drzwi wiodące do pokoju dziewczynki były zamknięte. Krysia przyniosła jej śniadanie.

— Niechże Helenka nareszcie przeprosi mamę, — radziła — jak można z tem tak długo zwlekać?!

Jednak nie tak to łatwo przeprosić! Głos sumienia pociągał ją wprawdzie do rodziców, lecz myślała:

— Gdyby przytem był tylko ojciec... ale tam jest i macocha, a ja jej nie chcę przeproszać!

Im dłużej rozmyślała, tem większy strach ją ogarniał, że tak późne przeproszenie na nic się nie przyda, że stosownie do groźby ojca, oddadzą ją z domu.

Tak męczyła siebie i rodziców zarazem.

Dostała silnego bólu głowy i gdy Krysia przyszała sprzątać, Helenka zapytała:

— Czy tatuś jest w domu?

— Nie, niema go. Pani była taka smutna, a przytem żaliła się na ból głowy, więc pan wziął powóz i pojechał z panią; powrócą późnym wieczorem.

Helence, gdy to usłyszała, zrobiło się jeszcze przykrzej. Już wytrzymać nie mogła i ani chwili dłużej czekać nie chciała; radaby zaraz biedz i prosić o przebaczenie. A tu znowu nadchodzi długi wieczór i cała noc. Jak ona wytrzyma do jutra?! A na domiar, głowa i gardło bolały ją coraz silniej, oczy paliły.

— Jaka Helenka mizerna, — mówiła Krysia — biedna, musi teraz cierpieć, a to wszystko przez tę niańkę! Niech Helenka położy się i zaśnie; jutro może będzie dzień szczęśliwszy.

Helenka rozebrała się, położyła się i otuliła kołderką.

— Szkoda — mówiła, — że nie ma ani tatusia ani mamy; tak chętnie bym ich zobaczyła.

— Niech Helenka śpi, ja tu zostanę — rzekła Krysia.

Dziewczynka podziękowała jej za troskliwość.

— Już wolę zostać sama — mówiła.

Gdy zamknęła oczy, snuły się w jej wyobraźni postacie, do których uśmiechała się słodko. Zasnęła, lecz obudziła się wkrótce, ogarniał ją niewytłomaczony niepokój; przewracała się z boku na bok, by znów zasnąć i znów się obudzić.

Gdy rodzice wrócili do domu, mama zaraz spytała Krysię, jak się ma dziewczynka?

— Śpi teraz, ale ciągle się dopytywała o państwo i bardzo pragnęła ich widzieć

Jakże ta wiadomość ucieszyła panią dyrektorową! Cichutko podeszła do pokoju Helenki, zatrzymała się jednak przy drzwiach, nie chciała jej przebudzić.

Helenka nie dosłyszała kroków mamy, nie spała przecież; leżała z przymkniętymi oczami i miała szum w uszach.

Gdy przyszła Krysia, Helenka poprosiła ją o szklankę wody.

— Jakąż Helenka ma gorącą głowę,— rzekła pokojówka — ja chyba panią poproszę!

— Niech Krysia teraz nie prosi, później, niech mama śpi — mówiła.

Krysia też myślała, że może niepotrzebnie zaniepokoi panią. Przygotowała szklankę wody z sokiem, potem położyła się i mocno zasnęła.

Helenka nie mogła spać; gardło ją bolało coraz więcej, a głowa ciążyła! Gdy otworzyła oczy, zdawało się jej, że niewyraźne kształty sprzętów wirują i poruszają się jak żywe.

— Muszę być bardzo chora,— myślała — może niedługo umrę!

Gdyby przynajmniej mama była przy niej. Ona ma taką białą, miękką rękę; jeżeliby ją położyła na jej rozpalonej głowie, pewno ból zmniejszyłby

się. Ach! lecz ojciec i mama gniewają się jeszcze na nią i nie wiedzą, że ona tak bardzo żałuje swej winy! Gdyby dziś w nocy umarła, nie dowiedzieliby się o tem nigdy! Trwoga ogarnęła biedne dziecko. Miała teraz tylko jedno żądanie, widzieć mamę, być w jej uściskach i wiedzieć, że się na nią nie gniewa. Wstała, i cichutko, bosa, pobiegła do sypialnego pokoju mamy.

Pani dyrektorowa nie spała, myślała także o Helenie. Wyjechała na spacer, ulegając namowie męża, ale przykro jej było, że dziewczynki nie widziała dotąd. Jak chętnie przebaczyłyby jej winę!

Takie myśli odpędzały sen z jej powiek.

Wtem usłyszała cichy szelest za drzwiami; drzwi skrzypnęły i do pokoju wsunęła się drobna, biała postać, a cichy głosik wyszeptał:

— Kochana mammo, nie gniewaj się już na mnie, ja cię kocham i nigdy cię już nie zmartwię.

— Helenko! Moje kochane dziecko! Ależ ty się zaziębisz! — zawołała mama, ucieszona i zatrwożona jednocześnie. — Połóż się zaraz tu, przy mnie! Jakże się cieszę, że nie widzisz już we mnie złej macochy. Ty nie wiesz, dziecko drogie, jak bardzo cię kocham!

Helenka cała drżąca przytuliła się do matki.

— Ależ ty drżysz i taką rozpaloną masz główkę. Co tobie? chora jesteś! — zawołała niespokojnie.

Wstała, zapaliła światło i włożyła czempredzej szlafroczek. Obudziła ojca i wkrótce oboje siedzieli przy Helence, która leżała w silnej gorączce i majaczyła.

Posłano zaraz po doktora.

Ten, po obejrzeniu gardła powiedział, że Helenka ma dyfteryt. Rodzice przerażili się.

Zaczęto energicznie walczyć z chorobą. Mama dzień i noc pielęgnowała swoją pasierbicę, nie zważając na ciągle czuwanie wyczerpujące siły, i że mogła sama zarazić się chorobą.

Ciężkie dni nastały.

Kilkakrotnie wątpiono o życiu Helenki.

Nareszcie minęło niebezpieczeństwo. Zrozpaczeni rodzice odetchnęli swobodniej, zdrowie dziewczynki powracało powoli.

Jakież to było szczęście, gdy Helenka po raz pierwszy uśmiechnęła się przytomnie do mamy!

Jeszcze przez długie dni i noce leżała bladziutka, a tak osłabiona, że słowa przemówić nie mogła, wzrokiem tylko śledząc matkę, która prawie ciągle przy niej była. Ona podawała jej napój chłodzący, posilny rosół, ona poprawiała jej poduszki, odgadywała jej życzenia.

Helenka już nie raz chorowała, przeszła już nawet dawniej odrę i szkarlatynę, lecz nikt jeszcze dotąd nie umiał jej tak pieścić i dogadzać w chorobie.

Można było chorować, gdy taki anioł pilnował!

Ojciec również po kilka godzin spędzał w pokoju córki; lecz miał po za domem zajęcie, którego nie mógł porzucić, a przytem nie umiałby zastąpić dobrej i delikatnej, a tak troskliwej ręki kobiecej.

— Muszę zadowolnić się drugim miejscem, — mówił — mama z pierwszego zupełnie mnie wyrugowała.

— O, nie! — mówiła Helenka — ja tatusia i mamę jednakowo kocham. Dziękuję ci mój drogi tatusiu, że dałeś mi taką dobrą, drugą mamę.

— Bez wątpienia, lepszej nie mógłbym znaleźć!

— Nie mów tak, — prosiła żona — ja przecież spełniam tylko mój miły obowiązek.

— Tak? Narażałaś ciągle własne życie i wcale nie myślisz o sobie!

— Czyż można myśleć o sobie, gdy dziecko chore? Ale za to zyskałam teraz miłość naszej kochanej Helenki.

— Na zawsze, droga mamusiu! — szepnęła Helenka.

Dziewczynka odzyskała wreszcie zdrowie i siły; mogła znów uczyć się i bawić się jak dawniej.

Zmieniła się jednak. Nie raz przychodziło jej na myśl, że jest najszczęśliwszem dzieckiem na świecie. Z jakąż radością śpieszyła z pensji do domu,

by opowiedzieć mamie drobne zdarzenia z życia koleżeńkiego. Przy mamie odrabiała lekcje zadane na dzień następny; mama tłumaczyła jej wszystko, czego nie rozumiała, a wszystko z taką cierpliwością i łagodnością!

Po wyuczeniu się lekcji, Helenka wyjmowała z szafki swoje zabawki, gospodarstwo, lub lalki; już nawet szyła im sukienki, a mama pilnowała, aby robota była porządna i dokładna.

Potem ojciec wracał do domu i cieszył się widokiem rozweselonych twarzy żony i córki.

Nowa mama dbała też o to, aby Helenka nie zapomniała o swej prawdziwej, pierwszej mamie; nie raz mówiła jej o niej, jeździły na cmentarz stroić kwiatami grób kochanej zmarłej, a Helenka mówiła czasem:

— Moja mamusia pewno cieszy się w niebie, że ja mam tak dobrą, drugą mamę na ziemi.

Helenka zauważyła, że mama była często cierpiąca; lecz ta nie skarżyła się, a nawet prosiła, aby tatusia nie martwić wiadomością o jej niedyspozycji.

Nieraz długie godziny leżała na sofie, nawet przestała chodzić z Helenką na spacer. Aż pewnego dnia położyła się do łóżka i doktor zakazał wchodzić do jej pokoju.

Jakiż to był okropny dzień! Helenka płakała, gorąco prosząc Boga, by powrócił zdrowie mamie.

Ojciec dni całe przepędzał przy łóżku chorej; Helenka rzadko tylko widzieć ją mogła. Przyszło jej wtedy na myśl, że może stracić i tę mamę, i że niezmierny przeszył jej serce. Zaledwie zdążyła pojąć, co uzyskała, a już wisiała nad nią groźba pozostania znowu sierotą. Jakże teraz wyżyłaby bez mamy!

A biedny tatuś!

Z własnej winy tyle czasu straciła, dając się na mamę i tyle chwil jej zatrula. O jakże żałowała, że nie była lepszą i serdeczniejszą; zdawało jej się chwilami, że serce jej pęknie z wielkiego bólu!

Dzień za dniem mijał wśród ciągłej trwogi o życie mamy.

Dobry Bóg wysłuchał widocznie szczerých modłów dziewczynki, bo pewnego wieczoru doktor zarządził, że mama wyzdrowieje. Helenka z wielkiej radości zaczęła skakać po pokoju, śmiać się, wbiegała ciągle do pokoju mamy i całowała jej ręce.

Lecz mama była jeszcze bardzo osłabiona i trzeba było cicho mówić i zachowywać się bardzo spokojnie.

Helenka to rozumiała i całowała po sto razy rękę mamy, a chociaż z nią nie rozmawiała, lubiła przy niej posiedzieć.

Matka uśmiechała się do niej tak słodko, patrzyła na nią tak kochająco, że dziewczynce lzy szczęścia świeciły w oczach.

Wtem pewnego ranka radosna niespodzianka zwiększyła szczęście całego domu.

Bóg zesłał Helence braciszka.

Gdy jej powiedziano o tem, pobiegła go zobaczyć.

— Jakież to szczęście mieć braciszka! — wołała — będę się miała z kim bawić!

Spotkał ją przecież przykry zawód. Zobaczyła maleńkie, krzyczące stworzenie! Nie podobał się jej weale. Przyszło jej też na myśl, że teraz nie będzie już jedynym dzieckiem w domu i smutek ją ogarnął.

Podeszła do mamy.

— Moje drogie, kochane dziecko, — rzekła matka do niej, gładząc ręką jej włosy. — Masz braciszka, będziesz dla niego dobrą siostrzyczką?... będziesz go kochała?

Helenska prawie mimowoli zapytała:

— Ale i mnie kochać będziesz, mamusiu?

— Ach, ty niedobre stworzenie. — roześmiała się matka — więc przypuszczałaś, że nie mogę jednocześnie kochać ciebie i braciszka? Bądź spokojna! braciszek nie wyruguje cię z mego serca!

Te słowa uspokoiły Helenkę. Powróciła do ko-

łyski braciszka i cichutko obiecała maleństwu, że będzie mu dobrą siostrzyczką.

Łatwo jej przyszło dotrzymać obietnicy, bo braciszek stał się wkrótce miłym dzieciątkiem i nie odebrał Helence serca mamy.

Helenska wstydziła się nieraz, przypominając sobie, że tę mamę nazywała «złą macochą.»



SPIS RZECZY.

Biedna Kasia (z obrazkiem)	1
Gucio	43
Ukryta wina (z obrazkiem)	64
Imieniny Stasi.	89
Dwie skarbonki (z obrazkiem).	105
Dziewczynka i lalka (z obrazkiem)	135
Co dać mamię na imieniny?	147
Nowa mama	169

